

MARIA ŻMIGRODZKA

PRAWO DO NAUKI i KULTURY

WIELKĄ kartą z wyściskich i utrwalonych nazw z dobyczy „polskiego” nazwał Prezydent Bierut projekt nowej Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Podsumowując on aktualny etap dokonanej u nas rewolucji, z głębokich przeobrażeń społeczno-ekonomicznych, politycznych i kulturalnych wyciąga ustawowe wnioski, które zatwierdzają zasadnicze elementy istniejącego w Polsce stanu rzeczy, a jednocześnie stanowią pożyteczny czynnik pchający rozwój naszego życia w kierunku budowy socjalizmu.

Budując socjalizm, zmierzamy do wyzwolenia człowieka spod jarzma ucisku i wyzysku panującego w społeczeństwie kapitalistycznym, ale pragniemy go także wyzwolić z ciemnoty i przesady, z niewiedzy, która czyni go powolnym narzędziem w rękach wyzyskiwaczy; chcemy zasygnalizować przestrzeń między ludźmi posiadającymi dostęp do dóbr kulturalnych a masami wychowywanymi — w ustroju burżuazyjnym — przez szynk oraz brukową literaturę i sensacyjny film.

Sens głębokich przemian, jakie dokonały się w naszym życiu, polega między innymi także i na tym, że zrywamy więzy ograniczające jednostkę ludzką w społeczeństwie klasowym, że przekreślamy to „wszystko, co hamuje swobodny rozwój sił i możliwości człowieka, że dążymy do tego, by każdy obywatel znalazł się w sytuacji, pozwalającej na pełne i nieskrępowane rozwinięcie jego zdolności i zamiłowań twórczych. Nowa Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zabezpiecza realizację tych dążeń w rozdziale „O podziale i o prawach obywateli”.

Po doniosłych i rewolucyjnych w dziejach prawodawstwa świata postanowieniach o prawie do pracy, do odpoczynku, jakie z natury swej wprowadzają konstytucje typu socjalistycznego, uważając te elementy słusznie za fundament praw człowieka, znajdujemy w tekście projektu nowej Konstytucji paragrafy, które mówią o pomocy, jaką Polska Rzeczpospolita Ludowa niesie człowiekowi pracy, wyzwalającemu się z wielkiej niewoli — także i w zakresie jego potrzeb kulturalnych.

Z faktu, że Konstytucja typu socjalistycznego nie jest ani programem na wyrost, ani zbiorem pobożnych życzeń, że stanowi podsumowanie już zrealizowanych osiągnięć naszej rewolucji, że mówi o tym „co już jest, co już zostało osiągnięte i zdobyte obecnie, w terytorium i w sferze społecznej” (Stalin „O projekcie konstytucji ZSRR”) wynika nie tylko szerokość i bogactwo zabezpieczonych przez Konstytucję form rozwoju kulturalnego jednostki i narodu, ale ich pełna realizacja. Konstytucja typu socjalistycznego „nie ogranicza się do stwierdzenia formalnych praw obywateli, lecz przenosi punkty ciężkości na sprawę zagwarantowania tych praw, na sprawę środków w realizacji tych praw” (Stalin). To znaczy, że sześć lat polskiej rewolucji kulturalnej wytworzyło już z jednej strony tak wysokie napięcie potrzeb kulturalnych szerokich mas ludności, z drugiej zaś — tak sieć instytucji kulturalnych, że realizowanie tych praw nie jest pustym dźwiękiem, lecz konkretną rzeczywistością, a jednocześnie stale wzrastającą tendencją rozwojową naszego życia.

Prawo do nauki i prawo do korzystania ze zdobyczy kultury i do twórczego udziału w jej rozwoju, dbałość Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej o wszechstronny rozwój nauki, o rozwój literatury i sztuki, opieka nad inteligencją twórczą i nad wychowaniem młodzieży, mają jako gwarantów nasze dotychczasowe osiągnięcia. Prawo do nauki obywateli polskiemu poręcza nie tylko rosnąca ilość szkół wszelkiego typu, wzrost kadry nauczycielskiej, system burs i stypendiów, szeroka sieć kursów i instytucji podnoszących umiejętności zawodowe; poręcza je przede wszystkim realna, życiowa możliwość wykorzystania zdobytych kwalifikacji w obranym zawodzie, pożądana chłonność naszego rynku pracy, która zdejmuje z wykwalifikowanego pracownika klątwę bezrobocia, przekreśla zmowę „nadprodukcji inteligencji” i stwarza możliwości sprawiedliwego awansu, wyrównując w ten sposób krzywdy minionego ustroju.

Ale z drugiej strony prawo do nauki poręcza też i jakość wiedzy, którą pozwala nam osiągnąć współczesność — to, że głębokie przemiany w życiu nauki polskiej pchnęły ją na jedynie słuszną drogę materializmu dialektycznego i historycznego, to, że wiedza, jaką powstaje w naszych instytucjach i laboratoriach, już dziś służy — a z każdym rokiem coraz oświeconiej — służyć będzie sprawie ludu, że jest już i będzie coraz bardziej w przyszłości — jego bronią i jego bronią. Ministerstwo patrzy na robotników jak na proch, a na wiedzę i wykształcenie jak na iskry, minister przemiany jest, że jeśli iskry padnie na proch, to wybuch zagrazi przed wszystkim rządowi —

pisal Lenin. Tak było przez wieki — wiedza była monopolem klas posiadających. Działanie tego prawa możemy prześledzić w ciągu całej naszej historii: — od koncepcji pańszczyźnianych szkół ludowych, gdzie pilnie dbano, by podnosząc pewne kwalifikacje ludzkie, „zwierzać robotników” nie rozchylali ich jednak nadmiarem „zbytłych” wiadomości — przez znane słowa carskiego ministra „oświaty” stwierdzającego, że „gimnazja nie dla synów kucharek” — aż do wyrazów uznania, jakimi endeckie pisma w dwudziestolecie przywilijni ceniły subwencję Wolnej Wszechnicy Łódzkiej, by przeciwdziałać „przechwytaniu w głąb” dzieciom robotniczym. Książka w rękę robotnika i chłopca była sygnałem do wzmożonej czujności dla wroga klasowego — niejednokrotnie początkiem prześladowania — mówią o tym życiorysy Olbryzka, Lucjana Rudnickiego, Józefa Pogana — ale mimo to, była istotnie „iskrą” padającą na proch, uczyla — i porwała do walki, otwierała oczy — i wkładała broń w rękę. Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej podsumowuje drogę, jaką przeszedł lud polski od „uniwersytełów proletariatu” — jak nazywano cele wiezień carskich i sanacyjnych, na wyższe uczelnie państwowe, do teatrów, świetlic i sal koncertowych. Symbolem tej drogi może być historia pisarstwa Lucjana Rudnickiego — u początku jej stoi nieporadna jeszcze ułocha strajkująca — dziś — książka wyróżniona Państwową Nagrodą i godność prezesa Związku Literatów.

Jeżeli Polska Rzeczypospolita Ludowa poręcza swym obywatelom „prawo do korzystania ze zdobyczy kultury i do twórczego udziału w rozwoju kultury” —

rodo w e j”, to jest to prawo realne nie tylko dlatego, iż celowa, planowa akcja państwa zmierza do podniesienia poziomu kulturalnego mas ludowych, do udostępnienia wszelkich środków poznania i twórczości, doświadczeń i ich wyposzczenia, festiwalu sztuki ludowej, wystaw i konkursów, ukazujących prace masowego twórcy z jednej strony — a rosnące nakłady książek, rozwój bibliotek, rozbudowa sieci teatrów i kin z drugiej — to pożyteczne dźwignie rozwoju kulturalnego naszego narodu. Ale nie zapominajmy, że pożytecznym bodźcem jest zmieniająca się treść naszej kultury, która z każdym rokiem staje się coraz bardziej kulturą ludową, socjalistyczną. Nie staliśmy się jeszcze narodem socjalistycznym i w kulturze naszej nurt ludowy nie zapawał jeszcze niepodzielną. Jednak istotne przemiany, które się w niej dokonały, zasypują powoli, ale nieuchronnie przepaść między kulturą „uczoną”, oficjalną, a wypieraną i każoną przez „drobnomieszczańską tandę folkloru, rozbijają artystyczne kapliczki i porwują twórców w nurt wielkich spraw, bliskich człowiekowi pracy, rewolucyjnej i humanizującej naszą sztukę, czynią z niej wielką sprawę całego narodu. Współczesna sztuka, film, książka mają ambicję budowania naszego życia, podejmowania najbardziej palących jego spraw, przyniesienia konkretnej pomocy człowiekowi pracy w jego konfliktach życiowych — stąd słowa o „udostępnianiu” i „korzystaniu” nie brzmią jak pusty frazes. Dzieło sztuki — zwłaszcza dzieło literackie — weszło już aktywnie w życie produkcyjnych kolektywów, przekształcających rzeczywistość — radzi członkom spółdzielni produkcyjnych i brigadom robotniczym, walczącym o zmianę stylu pracy w zakładach przemysłowych.

Masowy czytelnik może dziś mówić o sztuce — i mówi o niej, niejednokrotnie czynnie oddziałując na drogę jej rozwoju. Czymże byłoby słowo o „prawie do korzystania ze zdobyczy kultury” w społeczeństwie, w którym „Sanatorium pod klepsydrą”, czy dzieła sztuki plastycznej zatytułowane „Plonące żyrafy” mają pretendować do miana „sztuki narodowej”?

„Polska Rzeczypospolita Ludowa troszczy się o wszechstronny rozwój nauki”, mówi art. 63, a art. 64 utwierdza opiekę Państwa nad rozwojem literatury i sztuki. I tu trzeba dostrzec głęboki sens tej opieki — troska Państwa, to nie tylko laboratoria i instytucje badawcze, biblioteki i stypendia, dbałość o zabezpieczenie potrzeb życiowych naukowca i artysty — to także szeroko otwarte perspektywy twórczej i produkcyjnej społecznie pracy, to gwarancja możliwości wyboru postępowej, materialistycznej metody badawczej, to możliwość korzystania z doświadczeń produkcyjnej nauki i sztuki radzieckiej. Opieka ta jest realna — bo daje uczonemu i artyście gwarancję poparcia i możliwość kontynuacji każdej cennej inicjatywy twórczej, bo wyznacza mu realne i doniosłe miejsce w dziele wielkiej budowy, bo zaostrza jego współpracę między nim a narodem, jakim nie da mu nigdy społeczeństwo krzywdy i wyzysku.

Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest wielkim manifestem marksistowsko-leninowskiego humanizmu, który wyzwalając człowieka daje mu jednocześnie najpiękniejsze prawo — prawo tworzenia kultury.

Maria Żmigrodzka

LEONARD SOBIERAJSKI

KLASOWE OBILICZE WSI W LATACH OKUPACJI



Edward Marzec

DEBIUT (powieściowy) Edwarda Marzec należy rozpatrywać łącznie z kilku wcześniejszymi opublikowanymi książkami, w których wieś z lat okupacji znalazła swój artystyczny obraz. Będziemy mogli wówczas prześledzić, jak pod piórem młodego pisarza dojrzewał sam temat, jak zaostrowały się ich spojrzenie na minioną rzeczywistość, pozwalając w niej dostrzec te momenty, w których odsłaniała się klasowa prawda o „nocy okupacyjnej”. Ten proces pisarskiego dojrzewania, właśnie dlatego szczególnie interesujący, że dokonywał się poprzez debiuty powieściowe, spróbujemy odczytać z takich pozycji, jak „Broń”, Witolda Zaleskiego, „Chłopczy z lasu”, Władysława Machajki „Ludowy potok” Józefa Ozgi-Michalskiego. Z grubsza chcemy dokonać analizy na tym materiale, który pozwoli nam, w sposób właściwy spojrzeć na powieść Marzec, ustalić, na ile jest ona — krokiem na przód w stosunku do swoich poprzedników.

Wartość ideowo-artystyczną próżny o latach okupacji należy mierzyć tym, w jakim stopniu daje ona poznawczo bogaty i artystycznie przekonujący obraz walki, toczony wówczas przez masy ludowe, walki prowadzonej na dwóch frontach: przeciwko okupantom i hitlerowskiemu i przeciwko własnej „burżuazji”, która starała się zdławić narodość — wywołując zryw klas robotniczej i radykalnego chłopstwa. Wartość tej próżny mierzymy tym, na ile umie ona ukazać zaostrowały się konflikt klasowy wówczas, gdy burżuazja w leku przed rewolucją za patriotyczną postawą ludu odpowiedziała zdradą narodową.

W najwcześniejszej „Broń” Zaleskiego widzimy dopiero zaledwie klasowego widzenia okupacyjnej wsi. Mamy tu na razie grubsza przeprowadzone linie podziału. W polu autorskiej obserwacji znalazł się dwór obszarnczy i wieś, bez wyraźniejszego jednak wewnętrznego zróżnicowania. Sam dwór nie został tu jeszcze ukazany w jego politycznej funkcji. Przypatrzmy się, jak Zaleski konstruuje fabułę „swojej” powieści? Autor w krótkich, zwartych scenach kreśli sytuację jednej z wsi na terenie Lubelszczyzny. — Ukazane zdarzenia rozgrywały się latem, czterdziestego trzeciego roku. W ciągu kilku nastu zaledwie dni. W Rudawce dzia-

ła BCH. Na terenie wsi działa również młody inteligent, przebywający w charakterze nauczyciela i ubogiego krewnego w rudawskim dworze. Zbuntowany przeciwko własnej klasie, ciężary sympatii do chłopów, skupuje po wsi broń, by stworzyć w przyszłości własny oddział partyzancki. To z jego inspiracji jeden z zaufanych chłopów wykrada zmagazynowaną przez „bechowców” broń, pozabawiając jej tych, którzy w najbliższych dniach mieli podjąć z okupantem walkę. Zdekonspirowany ucieka z zagrożonej wsi, pozostawiając ją bezbronną wobec terroru okupanta. Zaleski w swojej powieści pokazał nam w sposób przekonujący jeden z momentów życia okupacyjnej wsi, jak podwala się ona do walki, zatał natomiast podstawowy konflikt, który obiektywnie zarysował się w toku przedstawionych zdarzeń. Nie uwyraźnił mianowicie antagonizujących sił w rozgrywece o broń, o wpływy polityczne na terenie wsi.

W książce Zaleskiego dwór obszarnczy z nienawiścią odnosi się do chłopstwa, jest jasne, że wieś budzi w nim lęk, że wolałby ją widzieć bezbronną. Autor nie wciąga jednak bezpośrednio w akcję jego przedstawicieli, Rudawkę i okolicę ogłaca z broni inteligentki bohater — Leszek, który wprawdzie związany jest organizacyjnie z jakąś prawicową grupką, ale sam z odrazą odnosi się do burżuazji, nie myśląc wcale o obrocie jej interesów. Stąd wysunięcie tak określonej postaci na plan pierwszy i jej rola w przebiegu powieściowych wydarzeń zaciera istotną klasową motywację faktów, podstawiając na jej miejsce motywację psychologiczną. Autor nakreślił z niewytłumaczonej siłą jedną z typowych dla okupacyjnej wsi sytuacji, nie rozegrał jej jednak dla pełnego zdemaskowania istotnego wroga klasowego, jakim dla podstawowych mas chłopskich było obszarnczo.

Władysław Machajek w swoich „Chłopcach z lasu” postawił sobie daleko szersze założenie. Powieść jego miała odbijać „wszystkie lata okupacji”. Zarliwa, pełna pasji politycznej książka Machajki wyrosła z bezpośrednich doświadczeń autora, który pisarz — sam przed wrześniem członkiem KZMP a w czasie okupacji jeden z organizatorów Gwardii Ludowej na terenie powiatu miechowskiego — starał się na gorąco przeprzeć w sposób kształt powieściowy. W powieści Machajki dadzą się wychwycić dwie dyrektywy, według których autor porządkuje materiał własnych obserwacji. Pierwsza z nich wynika z potrzeby ukazania roli działaczy komunistycznych w organizowaniu podziemnej walki z okupantem, z potrzeby ukazania ich niezłomnej postawy, hartu i patriotyzmu. Drugim wyznacznikiem kompozycyjnym jest próba wiernego odwzorowania dziejów partyzantki AL-owskiej w Miechowskim. Autor urzeczony obrazem partyzanckich zmagani, kierując się chęcią przytoczenia jak najpełniejszego materiału, by nie z walki konspiracyjnej nie uronił, wieś postrzynał raczej jako tło, nie podejmując pełniejszej klasowej analizy środowiska chłopskiego. Machajek wprawdzie odsłania ideologiczne zrosty kulackiej części wsi z obózem burżuazji, za mało jednak poświęca jeszcze uwagi ukazaniu biedy wiejskiej, jako siły szybko dojrzewającej do rewolucji społecznej. Front walki klasowej w ramach okupacyjnej wsi

nie został u Machajki jeszcze ostro zarysowany. Autor skupił swoją uwagę na pierwszoplanowym wówczas przeciwniku, obnażając przede wszystkim całą ohydę obozu burżuazji, organizującej pod zyczyliwym okiem okupanta swoją „konspirację” do walki z narodowo-wyzwoleńczym, rewolucyjnym ruchem robotniczo-chłopskim, kierowanym od czterdziestego drugiego roku przez PPR. Podstawową wartością książki Machajki jest próba pokazania bohaterstwa walki Gwardii Ludowej, jest przede wszystkim próba zobrazowania tej historycznej prawdy, że pierwszy i to krwawy akt naszej rewolucji rozgrywał się w latach okupacji, gdy faszyzowskie bandy eneszetowskie atakowały zdradziecko oddziały Armii Ludowej.

Powieść Józefa Ozgi-Michalskiego „Ludowy potok” podejmuje te problemy, które brak odczuwamy w książce Machajki. Ozga-Michalski, pokazując wieś kielecką, a ściślej Pińczowską, zwrócił uwagę na kryształowanie się postawy politycznej chłopstwa. Akcja powieści wprowadza czytelnika już w wypadki pierwszych miesięcy czterdziestego czwartego roku, a więc po powstaniu Krajowej Rady Narodowej. Rozpoczyna się wówczas na terenie Kielecczyzny ostra walka o Bataliony Chłopskie, których oddziały wbrew reakcyjnemu dowództwu przechodzą do Armii Ludowej, by włączyć się do czynnej i zorganizowanej walki z okupantem, na terenie Kielecczyzny tworzą się wówczas pierwsze rady narodowe. Te momenty wyznaczają kompozycyjnie „Ludowego potoku”, trafnie akcentując węzłowe punkty, na których dokonał się pierwszy zwycięski atak radykalnych, lewicowych ludowców na kulackie, reakcyjne kierownictwo. Tak by z grubsza wyglądała topografia elementów ideowo-poznawczych w trzech wysuniętych przez nas powieściach. Szczególnie w wypadku „Chłopców z lasu” i „Ludowego potoku” otrzymujemy uzupełniający obraz, który bogaci nas o polityczną wiedzę o wsi z lat okupacji. Czy powieść Marzec bogaci ten obraz o nowe elementy?

Marzec w swojej powieści „Słońce wschodzi” wraca do lat okupacji, by na przykładzie jednej wsi pokazać zachodzące wówczas w warstwie chłopskiej procesy. Autor, przedstawiając w sposób jak najbardziej bezpośredni okupacyjną codzienność Błogocin, ukształtował obraz, w którym odsłonił się wewnętrzny sprzeczności w gromadzie wiejskiej. Te sprzeczności, zrodzone przez kapitalistyczny wieś, obnażyły się z całą jaskrawością w czasie minionej wojny. Wychwycić je, zamknąć w literackiej wizji, udokumentować losami bohaterów — oto pierwsze założenie, jakie sobie Marzec postawił.

Ale lata okupacji to przedpole naszej rewolucji, to lata, w których klasa robotnicza, podejmując nieubłagana walkę z najzjadliwszym hitlerowskim, przygotowuje się równocześnie do obalenia kapitalizmu. Powieść Marzec wprowadza nas w wypadki rozgrywane się w Błogocinach w czterdziestym drugim roku, by doprowadzić je do pierwszych dni wyzwolenia. Nie przypadkowo akcja książki rozpoczyna się w roku powstania Polskiej Partii Robotniczej, bo od tego momentu i do zapadłych wsi będzie docierała ideologia Partii, rozbudująca w podstawowych masach chłopskich rewolucyjną świadomość.

Zacznijemy wtedy krzepnąć front biedoty wiejskiej przeciwko kulackiemu wyzyskowi. Ukazanie ten proces w zindywidualizowanym obrazie — oto druga dyrektywa, jaką się kierował autor książki „Słońce wschodzi”.

Marzec pokazuje nam w pierwszych rozdziałach powieści rodzinę drobnotulnych chłopów Domagałów, daje syntetyczny skróty społecznej sytuacji, w jakiej znajdowała się biedota wiejska w kapitalistycznej wsi. Ignac Domagała rozpoczynając swoje życie na dwumorgowej gospodarce wierzył w swoje mocne ręce, ufał swojej niezmordowanej pracowitości. Poznaliśmy go w momencie, gdy ten pięćdziesięcioletni mężczyzna wypruty nadmierną pracą z resztek sił, dokonywał bilansu swego życia. Z jego wspomnień odsłania się typowy los wyrobniaka wiejskiego, którego pracę za odrobinkę, za nędzne wynagrodzenie wykorzystywali bogacze — Kowalscy, Ziembarscy, Kwapińscy. Marzec kreśli ten los, by pokazać na Domagałach ograniczoną jeszcze świadomość tej części malorolnych chłopów, którzy system kapitalistyczny przyjmowali jako nieodpartość, nie dopuszczając nawet do siebie myśli o podjęciu z nim walki. Stary Domagała stronił od „polityki”, liczył, że na powierzchni utrzyma się „robotność”. Na argumenty syna Pietrka, który zaczyna pojmować mechanizm kapitalistyczny — wyszukał odpowiedź: „czyż ty ślepy, czyż nie ślepa robota? Policzcie najprzód tych, co roboty szukają, a potem oszacuj, ile roboty na nich czeka. No? Roboty jest za mało dla potrzebujących!” Z tej sytuacji, określonej jego słowami: „żeby jakoś żyć przecie” — kształtuje się postawa błogocińskiego biedniaka, jego poddanie się kulackiemu jarzmu. Domagała na progu śmierci w ciężkim wysiłku myślowym dochodzi do prawdy: „Zatrzymawszy wspomnienia na Pietrku, przewracał się na między jak człowiek, który pragnie wydobyć z siebie coś nowego, a jego mózg już śpi i nowych myśli nie rodzi. Lecz coś się tam w głowie. Domagała łączy zdarzenia z sobą, przedstawia ich kolejność. Brakuje, Pietrek nie lubił mówić o sobie za wiele. Ale polityka mu się podobała. Ah! Mnie rewolucja za to, że miał krasa, a jego gonili za coś, co jeszcze gorzej sięgało niż „złodziejstwo” — westchnął stary z ulgą, szczęśliwy, że odkrył rzecz, o której nigdy poważnie nie myślał, choć w niej się mieściła cała tajemnica”.

Marcew udało się przy pomocy najprostszych środków ukazać całą beznadziejność losu drobnotulnego chłopca w kapitalizmie. Przy pomocy techniki jakby filmowych zbliżeń wydobyla ludzką i klasową treść przedstawianej postaci.

Domagała zaskomlą jak nieporadnie szczeni, które zostało bez opieki. Czuję, że gdziekolwiek spojrzę nie zobaczę matki, bo jej nie ma. Podparł się lewą ręką, nogę podkurzył, potem obrócił tułów za ręką. Podnosił się z ziemi i płakał. „Złe że mna, a Maryna nie wierzy, że źle. Pietrek, o tak, Pietrek to by powiedział: tata, wyrobek cię zżarł. I prawda”.

Panujący w gromadzie wiejskiej system kapitalistyczny uzależniał ją od zysku, który osiągał przez wyzysk. W tej sytuacji zasygnalizowała Partia poprzez swojego rzecznika, Sroga, opór ten będzie się wzmacniał, gdy chłopci odczują, że z-

ganiowany przez Pietrka oddział Gwardii Ludowej ich interesy pierze w obronę. Jest jeszcze drugi czynnik mobilizujący — to wieści z frontu wschodniego. Świetne są w powieści momenty, gdy chłopci ścigają na wieczorne pogawarki do chłapy Srogi, by zasięgnąć języka o sytuacji wojennej. To Stalingrad wpłynął na okrzepnięcie klasowego frontu w podkrakowskiej wsi. Jest zaśniona Marca, że bez uciekania się do komentarza, pokraślił to pokazać poprzez zmiany, dokonujące się w świadomości przedstawianych postaci.

Problemem podstawowym dla powieści Marzec, jak to już wyżej podkreślaliśmy, jest próba ukazania klasowego oblicza wsi z lat okupacji. Tej dyrektywie ideologicznej będzie podporządkowana cała konstrukcja książki. Fabuła powieści dostarcza materiał, który wyupukla zasadnicze konflikty kapitalistycznej wsi, odsłania ich specyfikę w określonej sytuacji historycznej. Na obraz Błogocin złożył się jakby dwa ciągi faktów. Jednym ciągiem autor zarysowuje stosunki społeczno-gospodarcze w gromadzie, w drugim odsłonił narastanie sił, które tym stosunkom wypowiadają zdecydowaną walkę. Autor częstą splata fakty, stwarzając w ten sposób niepisany komentarz, który czytelnik sam już sobie buduje. Przypomnijmy tu rozdział, w którym Marzec przedstawia nocną schadzki chłopów u Srogi. Obserwujemy zarysowaną dysputę. Są tu ci, którym okupacja daje się okrutnie we znaki, a więc drobnotulni Serwatka, Janola, średniacy Pajda i Puchala, jest także parobek Baranek, jest oczywiście i Pietrek Domagała. Omawiając gorące szanse zakończenia wojny, przyjmują chętnie wiadomości o walkach na froncie wschodnim, z nim przede wszystkim, który wiąże nadzieję zwycięstwa. Autor przetraca nas nagłe do domu Kowalskich. Matkońkowie przed snem referują sobie sprawę nowej „kombinacji” ze zbożem, którą stary obgadł z Holubką: „Zgodziliśmy się, czy tylko obiecywali? — Tak. Możemy wozić zboże do spółdzielni, ile będziemy chcieli. On to przyjmie jako kwalifikowane do siebie, zapłaci po osiemdziesiąt złotych za metr i zaliczy na kontyngent”.

Nabrał powietrza i wykladał dalej: — Za to mamy prawo kupić w spółdzielni zwykłego ziarna dwa razy tyle, co tego niby siwego odstawiemy. Po dwadzieścia osiem złotych za metr. Rozumiesz, co to za interes? — Rozumiesz — zastanowiła się Kowalska. — Ale gdzie podziwiesz to ziarno od niego? Michniakowi będziemy sprzedawać? Czy lepiej ziemię i puszczać na Kraków mako? Po wiele przesłania? — Michniak płaci tysiąc osiemset — odrzekł.

Powracamy do pierwszej sceny. Sroga opowiada o tym, jak partyzanci radzieccy „wysadzają podciągi, zrywają tory, burzą mosty, podpalają magazyny. Sroga rzucił słuchawką wyznając, żeby u nas taka partyzantka była”.

Przytoczyliśmy jeden z przykładów typowych dla techniki kompozycyjnej debiutu Marzec. Autor, przerywając scenę dla wstawienia innego wyznika z przedstawianej rzeczywistości, wydobyla właśnie treść klasową reprezentatywną dla powieści postaci, zdarzeń i sytuacji. Proza Marzec jest wolna od „zaokrąglającego” komentarza auditorskiego. Pisarz przez staranną selekcję faktów tworzy przesłanki, pozwalające czytelnikowi na wysnucie poprawnych wniosków ideologicznych. I to jest poważne osiągnięcie debiutu Marzec.

Leonard Sobierajski

*) Edward Marzec: „Słońce wschodzi”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1951 r.

JULIAN MILEWSKI

W roku 1946

JÓZEF POGAN

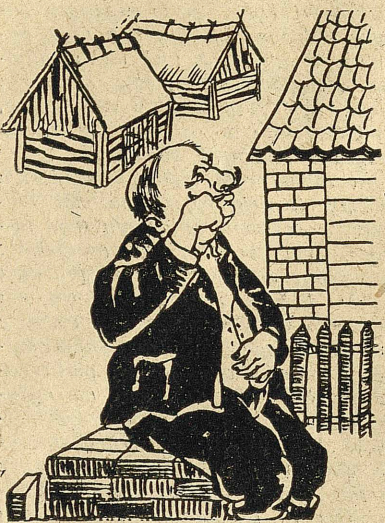
W roku 1949

P O Ż Y C Z K I

M I E D Z E

W początkach 1946 r. przybyłem do małego miasteczka K. W kieszce wiozłem nominację na dyrektora powiatowej KKO. Nominację tę poparła powiatowa PPR, nie bez przyczyny. Przed wojną pracowałem w tej miejscowości w oddziale Banku Rolnego.

Byłem młodym, nie nie znaczącym urzędnikiem, który pobierał 70 zł.



Rys. A. Mierzejewski

miesięcznie, podczas, kiedy mój dyrektor 900 zł. On poza tym był stałym gościem w okolicznych dworach u hr. Krasińskiego, u Rembelskich, Turskich, gdzie chciał, bo wszędzie miał otwarte progi. Krótko mówiąc, żył na pańskiej kuchni trzy kwartały w każdym roku. Ja wypiekałem wiecek na 25 tysięcy, a dyrektor wiozł go Rembelskiemu w przesyłanej karcie, wśród falujących łanów pszenicy, jako niespodziankę. Bo o Oddział Wojewódzki Banku Rolnego przysłał dziedzicowi Rembelskiemu 25.000 zł pożyczki „pod zastaw zboża”, które wg. oceny inżyniera rolnego dawało jeszcze na polu całkowitą gwarancję pokrycia. We wrześniu znowu wypiekałem Rembelskiemu wiecek na 30.000 zł.

Zbiór sprzedaj, pożyczki poprzedniej nie wrócił, a na nową wymyślił inny powód.

Miałem jednak i ja powiązania z latyfundiami i dobrami obszarników, z tą różnicą, że kiedy dyrektor znał pałac i dwory, ja poznałem czworaki folwarczne. Mówiąc ściśle, nawet czworaków dobrze nie poznałem. Wydałaby się wówczas moja robota. Poznałem natomiast wielu robotników dworskich i sezonowych. Kontakt zdobyłem u Polegi, który był sekretarzem Pow. Zw. Rolnych.

Polega wciągnął mnie do udzielania porad prawnych na rzecz robotników rolnych. „Mogłem się przydać, bo kilka lat pracowałem w adwokackich kancelariach. Szło o zaufanego człowieka. Inaczej nawet adwokat opłacony, na nic by się nie zdał. Bo albo celowo przegrał, albo się uchylił od sprawy.

Przegrać celowo nie było żadną sztuką. Sprawy bowiem sporne z robotnikami rolnymi rozpatrywane były przez tzw. Urzędy Rozjemcze, których orzeczenia miały moc sądowych wyroków.

A w skład Kom. Rozjemczej wchodził jako przewodniczący — Rejonowy Inspektor Pracy, 3-ch przedstawicieli ze Związku Ziemiaków i trzech przedstawicieli z ludności pracującej, przeważnie ziemniaczej.

Cale to towarzyszyło świetnie było dobrane.

Inspektor „na paluszkach” wobec obywateli... ziemskich. W reprezentacji Ziemiaków tkwił przez lata Żurawiecki, zbankrutowany obszarnik, teraz Sekretarz Związku Ziemiaków, opój i piecierzany, odrabiający plenipotencją robotę z nadgorliwością ostatniej świni. Bo na wokandy Urzędu Rozjemczego stawały przecież raz za razem sprawy niewypłacanych ordynarii i zarobków, wyrzucenie z czworaków robotników, zwalnianie bez podstaw, na widzi mi się. Pamiętam jak kiedyś, tego samego dnia, dowiedziałem się u Polegi, że biednej wdowie, folwarcznej pracownicy, Chmurnej Komisja Rozjemcza przyznała tylko wypłatę 20 proc. za całoroczną pracę, a jej dziedzic Turczyński ubiegł się o noc w naszym miasteczku przegrał w bilard 5.000 zł po pijanemu.

Chmurny... dopilnował Żurawiecki i pewnie Murzecki, mistrz kowalski, a raczej właściciel zakładu, przyjmującego obywateli na karety, powozy i wołany. Ten członek Komisji reprezentował „lud pracujący”. Taki to był „lud”, co w umowach obywatelskich zawsze warował sobie prawo, że on pierwszy otworzy drzwi do powozu „jaśnie panu”. Otwarł i otrząsnął w sobie zamówienia na karety i n... rolę woli w Komisji Rozjemczej.

Jadąc po latach znowu do tego miasteczka, które przed wojną było pasywną narażą powiatu, bawilem się myślą, jakiego to zadania lupnia różnym bogaczom chłopom, liksom dawnych ziemian i w jakim to czasie orientują się w mikolajczykowscy, że nie z obcym przybyszem mają do czynienia?

*

Z. meldowano mi samego pana prezesa Powiatowego Zarządu Samopomocy Chłopskiej. Było to w trzecim dniu mojego urzędowania. Oho, spieszy się. Chce zapożyczyć na święto upieczonych dyrektora, póki ten się nie rozejrzy w stosunkach miejscowych.

(Fragment pamiętnika)

Ciekawe, czy to szkodliwa bestia a głupia, czy też kuta na cztery nogi? Pokaże się po tym, co przyniesie. Wszedł prezes, Wawryło, właściciel 14-hektarowego gospodarstwa, oddalonego o 5 km od naszego miasta. Miał on również młyn wodny, co prawda zdewastowany podczas wycofywania się Niemców.

Prezes sięgnął po teczkę, wyciągnął z niej niezmienione jeszcze papiery i wazył przez chwilę, nim usiadł. Wtedy dopiero wręczył mi je bez słowa.

Kuty na cztery nogi — pomyślałem. — Papiery zawierały bowiem orzeczenie wojewódzkich czynników, przyznające powiatowi 500.000 zł na remont budynków oraz 200.000 zł na zasiewy.

Przychodzę do was, dyrektorze z dobrą nowiną. Byście ładnie zaczęli pracę, postarali się, jak widzieliście, o grubsze sumy do waszego rozporządzenia, a my, to znaczy ja, w imieniu Samopomocy Chłopskiej pomogę wam radą komu, gdzie i ile pożyczyc, bo sprawa święta i pilna ma się wiedzieć.

Udałem radość, ale jak to mówią w sztabie — z flanki.

— Porządna to porcja, prezesie, dla naszego zniszczonego powiatu. Mówiono mi o interwencji Zakrzewskiego w województwie, widać poskutkowało.

— Przysłał mi się wam dyrektorze, że jako radny powiatowy nie głosowałem za kandydaturą Zakrzewskiego. Wystawił ja klub PPR, bo on partyjny, ale ja w dalszym ciągu nie mam do niego zaufania. Tak, jak on do mnie.

— Niesłusznie uprzedzałem się do Zakrzewskiego — odparłem jowialnie — mówiono mi, że na plenum Wojewódzkiej Rady Zakrzewski poruszał nie tylko zagadnienie naszego powiatu, ale umiał je doskonale powiązać z zagadnieniami w skali wojewódzkiej. Uwagę na to zwrócił minister Matuszewski, który w podsumowaniu powoływał się kilkakrotnie na rzeczową argumentację naszego przedstawiciela.

— Nie przeczę, że jest on mądrym człowiekiem. Ale w stosunku do mnie nie jest życzliwie nastawiony. Przed wojną tak mi zabalał... parobka, że musiałem go odprawić, bo się całkiem zaniedbał w pracy.

Przypomniałem sobie tę sprawę. Zakrzewski przyjeżdżał na majątek dziedzica Radwańskiego, dla prowadzenia zebrań ze służbą folwarczną. Po drodze zawadził raz i drugi do młyna Wawryły i widać urobił parobka, skoro Wawryła go wyrzucił. Wyrzucił go za upominanie się o godziwą płacę, a że i za „wywrotów” odezwania... To przypominanie trwało nie dłużej niż błysk gromu. Pan prezes już mówił z lekką wzburzoną głosem.

— Jak wiecie, mają się odbyć nowe wybory do ZSCh. Czuję, że z inicjatywą Zakrzewskiego idzie przeciwko mnie szeroka kampania. Myślę doborowo nie zrezygnować z tego stanowiska. Jest ono dla mnie bardzo uciążliwe. W najbliższych dniach uruchamiam młyn, muszę sam dopilnować gospodarstwa, tym bardziej, że jeden z synów objął gospodarstwo po kolonistach niemieckich. Drugi syn — podkreślił z dumą — zdał egzamin na Politechnikę w Warszawie. Chciałbym być jednak w ścisłym kontakcie z wami, dyrektorze, jak to było za waszego poprzednika. Dzisiaj wiecie, komu udzielam często informacji o możliwościach płatniczych rolników.

— Zaledwie kilka dni, jak przyjąłem kierownictwo. Kasy, dlatego z pierwszej poważniejszej akcji kredytowej chciałem być jak najlepiej wywiązany, muszę się więc zastanowić, w jaki sposób rozprawić się z kredytami.

— Dyrektorze, przecież rozprawa o kredyty, to już nie taka trudna sprawa. Ludzie będą się zgłaszać masowo po pożyczki. Oni już wiedzą, jak kolo tych spraw chodzić.

— A co powiecie prezesie na mój projekt? Mam zamiar zaproponować przewodniczącemu Rady i starszemu powołanie Komisji Kredytowej w takim składzie: Zakrzewski, Modliński — stary woźny sądowy, ja jako przedstawiciel KKO, delegaci ZSCh, PRN i Powiatowego Komitetu PPR.

— Komisja? Na co komisja? Dyrektor Zdzitowiecki takich subiekty sobie nie czynił. A Modliński, co on, ten woźny sądowy, będzie tu robił?

— Co będzie robił? Akurat wprost odwrotnie do tego, co robił przed wojną jego pryncypał, pan sędzia, który miał zdaje się obok was, w Krzysztowicach majątek na 200 ha. Prawda? A i to pewnie wiecie, że pan sędzia nie posiadał wykształcenia prawniczego a wybrany został przez obszarników tylko dlatego, że po pierwsze — sam ziemianin a po drugie, że był „znawcą” życia ludu wiejskiego. Modliński przez trzydzieści lat też poznał chłopów. Pomógł nam rozróżnić bogatych od biednych. Naprawdę potrzebujących, od naciągaczy.

Prezes Wawryło zamrugał powieki, rude wąsy podnosiły mu się niespokojnie. Patrzył, jakby mnie dopiero teraz ujrzał. Zmieniłem mu się w oczach i myślach. Zmienił też ton.

— Ja mam tutaj w teczkę kilkanaście podań na kredyty, zaopiniowane są przez ZSCh. Po co ci rolnicy, którym zależy na pośpiechu, mają tygodniami czekać na jakąś tam Komisję, która będzie załatwiała miesiacami?

— My też czekamy cierpliwie, patrząc, jak niektórzy z naszych klientów nie spłacają nam pożyczek. A jak jest z wami, prezesie Wawryło? — sięgnąłem po pierwszą z brzozy teczkę, udając że odczytuję. — Ani jedna rata nie została przez was wpłacona. Wzięliście 5 pożyczek, urzędniczy monitoruj a wy nic. I teraz denerwujecie się...

— A te podania? — Wziąłem podania, zacząłem przeglądać. Pierwsze było od Antoniego Malinowskiego ze wsi Marczyn. „Posiada 20 hektarów gospodarstwa, ogród owocowy i liczny inwentarz”.

— A dlaczego nie dopisało w tym podaniu, że na skutek machlojek musiał zrezygnować ze stanowiska przewodniczącego Gminnej Rady? — spytałem słodkimi, Wawryła wybałuszył oczy, nie mógł przemówić. — Wątpię, czy on rzeczywiście potrzebuje pomocy kredytowej, skoro z podania wynika, że posiada budynek ubezpieczony na poważną kwotę. Nie mieszka w piwnicy, jak to jest z kilku rolnikami w jego wsi.

— To poczyty gospodarz i te zarzuty są niesłuszne — wybełkotał wreszcie Wawryło.

— Mówicie o niesłusznych zarzutach? A przecież ten Malinowski w czasie okupacji jako woźny goliwie wypelniał zarządzenia niemieckie, krzywdząc niejednego biedaka, wysłał na roboty do Niemiec. Po wojnie też wykazał dużo talentu. Zaopiniował swoich braci i szwagrow w gospodarstwie poniemieckie, które jako członek Komisji Weryfikacyjnej z decydującym głosem przydzielał... Zda się, że i wy prezesie, należeliście do owej komisji?

— To nie ma nic wspólnego z pożyczkami.

— Co wy mówicie? — udałem zdziwienie. — Nie ma nic wspólnego z pożyczkami? Tacy Malinowscy otrzymują już nie pierwszą pożyczkę. A czym kosztem, pytam was? — Proszę — podanie waszego syna. A przecież dostał on 40 hektarów gospodarstwa po kolonistach. Malinowski mu pomógł, a teraz wy chcecie mu się wywdzięczyć. Tak? I to pożyczkę na poważną sumę 80.000, a biedak wiejski nie mógł do tej pory otrzymać nawet 10.000 złotych na tzw. dokładkę do kupna krowy czy konia.

— Syn mój otrzymał gospodarstwo opuszczone, to słusznie mu się należy pożyczka.

— Gospodarstwo opuszczone, mówicie? Tylko zapomnieliście dodać, że syn wasz otrzymał zapomogę od państwa i to poważną w postaci przydziału konia i dwóch krow z przydziałem unowocześnień. A niedawno podjął sporą ilość materiałów siewnych w zbożu i nawozach sztucznych, jako zapomogę z funduszy państwowych. A... powiatowy Pełnomocnik Siewny to wasz dobry przyjaciel, prezesie, co?

Wawryło mienił się na twarzy, ale milczał.

— Byłaby to, zdaje się, trzecia pożyczka dla waszego syna u nas w Kasie — ciągnąłem. — Mój poprzednik Zdzitowiecki, widzę, nie próżnował.

Wawryło zaczął wreszcie mówić.

— Wy, dyrektorze, upominacie się za biedną wiejską, rozumiecie was. Tylko nie zastanawialiście się nad tym, jaką oni dadzą gwarancję w zamian za udzielenie pożyczki. Krowiny przecież im ostatniej nie zabieracie, albo też połamanych gratów, gdy nie będą w stanie oddać pożyczki — patrzył teraz na mnie triumfując.

— Twierdzenie, że ja nie spłacam pożyczek, ale nie macie na czym ścisnąć, bo mam duży inwentarz. Maszyny też nie liche. A co do tych pożyczek... na przedwójku zboże droższe, młyn już prawie na chodzie, to wam te pożyczki pomalutka spłace. Trochę tylko zaufania i cierpliwości.

— A poczerwieńcie! i podnosząc energicznie za biurka krzyknąłem prawie. — Skończmy już dyskusję na ten temat.

— Kończę już. Ale raz jeszcze was proszę dyrektorze, odnieście się przychylnie do tych podań, które wam dałem.

— Jeśli będą wszystkie podania takie, jak te dwa pierwsze, bądźcie pewni, że nie będą załatwione po waszej myśli.

— Tyle czasu poświęcam na pracę społeczną. W drodze wyjątku załatwicie chociaż te dwa podania: mojego syna i Malinowskiego.

— Kumerstwo zwalczam i dlatego energicznie będę się sprzeciwiał, aby te osoby otrzymały pożyczki.

— Widzę, że jesteście zdenerwowani, chociaż i ja jestem nieco zdenerwowany, ale na dyrektora gniewać się nie myślę i jutro czy pojutrze przyjdę do was jeszcze w tej sprawie.

— To moja ostateczna decyzja. Nie ma potrzeby, żebyście się zgłaszali w tej sprawie, chyba że zgłosicie się z pieniędzmi na spłatę długów!

Wawryło raptownie podniósł się i powiedział głośno — Skoro tak, to ja już sam się postaram o nową pożyczkę za pośrednictwem Wojewódzkiego Banku Rolnego, nie tylko dla syna i dla Malinowskiego. Mam ja już takiego znajomka, który ma doświadczenie do urzędowania w tym banku. Proszę was o zwrot tych podań.

— Podań wam nie zwrócę.

— Jestem jeszcze prezesem i dlatego obowiązani jesteście mi zwrócić podania jako czynników społecznych. Nie macie prawa zatrzymywać — unosił się pan prezes.

— Podania adresowane są do Kasy. Zegnam...

— Julian Milewski

ZARAZ rano ledwie słońce wzeszło, już przed osrodek spółdzielni — zajeżdżał — traktor z POM-u.

— Na pewno na przeorywkę miedzy — domyślano się i wnet co bliżsi sąsiedzi wylatywali na podwórza, do sadów i na drogi.

Niebawem poruszyli się wszyscy wsi „prywatniacy” i pogadywali różnie, bo od kilku dni szły po wsi pogłoski, iż niektórzy gospodarze nie uznali wspólnej uchwaly gromady, dotyczącej wymiany działek między spółdzielnią a prywatnymi i że „na swoje pole nikogo za dioba nie puszcą”. Dziwnie to brzmiało w uszach rozsądnych ludzi, bo jakżeż można sprzeciwić się uchwale całej gromady? Ale wiadomo — uparty i chciwy człowiek zawsze się znajdzie. Dziwili się nawet dzieciaki. Wnet uformowała się ich spora gromadka i hałasując pokrzykiwała śpiewnie:

— Będę w polu miedze orać!
Przeciwnik! Gwoltu wołać!
Miedze orać!
Gwoltu wołać!

Z bramy osrodka spółdzielni wyruszyli dwa wozy, na których w słonecznym blasku polyskiwały odwalnice i lemieszki plugów. Oprócz woźniców, siedzieli na tzw. gnojnicach — Łodecki i Latarka. Woźnicy trzasnęli biczami, w takt warknął motor traktorów i ruszyli w pole. A w ślad za nimi popędzili krzykliwie dzieciaki.

— Będę w polu miedze orać, przeciwnik! Gwoltu wołać!
Dojechali ku bielejącym pasom ściernisk wśród szarżących z rzadka pasów roli, a już „kieby na zawołanie” wszędzie wokół po polach pełno ludzi. Już i wdowa Dudkowska zajął się miedzami wokół swego pola. Z ręki zwał jej aż ku ziemi różaniec. Poprzedz szerokość pól chłopcy zaczęli pogadywać weselo:

— Hej, słysycie, jak Dudkowska śpiewa goździki?
— Dyc słysie! Cóż się ty ścierwie uburdało! Cheba nie zbikował!

— Tak naprawdę to nie, ale ona przecie zawayd mu bzik! Wiecie komu słysie!

— Cóż takiego!

— Toli ona mo się podobno poświecić i przez moc nie puszc na swoje pole traktor! Zię zgodził się zamienić swoje działkę, a staro godo, że za nic nie ustąpi, bo chce poła na ojcowiznie żeby zjęs! Godo, że choćby ją na krzyk przybijali — nie ustąpi!

— Krzyk będzie z jej uporu i kupa śmiechu!

— To nojpewniejsze! Ale nie ino ona sama zbikuje! Inni tyz po trochu! O, widziacie go hań na miedzy jak łazi i patrzy zająsne na ściernisku! Zol mu widać zamienić!

— Cego by zaś było mu zol? Przecie nie lichse dostał teraz. Ino wiecie, ta głupio dumo poli go w piersiach, że to sprzeciwili się gromadzie, a nie nic zrobił! To go truje!

— Jużi tak, nie inacy! O, hań przemierz srokość krokami!

— A hań znowu stoi jak zaklęty i dumol!

— Ano, zegnajo uporywce swoje działki!

— He, nie wyszycy! Wiatrak i Uszykowani ani widną w polu! Nie śmio się na ocy pokazać!

— Bo im-nijako i głupio, że się nie po jechi stalo! Co juje, jak Wiatrakowi wywraco wiatrob!

Orazę zapuścili plugi po rogach poletek, traktorzysta ruszył w poprzek przed wszystkie. Dudkowska podyrdala miedzę na linie kierunku traktora, różaniec z krzyżem zawiesila na pierś i rozkrzyżowała ręce.

— Witaj miasto ucieki, wiezo utwierdzona, Dawidowa basztami i bronią wzmocnioną!

Łodecki, Latarka i oraze poderwali się zdumieni. Traktorzysta zwinol pęd. Biegnąc za skibami dzieci wymylny traktor.

— Babko, uciekajcie, bo was traktor ojeżdżi jak zabel!

Stała jak wryta do ziemi i śpiewała. Dzieci obokczyły ją.

— No uciekajcie, bo was ojeżdżi! — Woni, pedroki! pieskie noszenie — otrząsła się i dalej śpiewa.

Traktorzysta przystanął. Łodecki, Latarka i oraze już byli tuż.

— Wsadźi babę na traktor! — wołały rozbawione dzieci, czeplając się Dudkowej za chustkę.

— Wsadźi! wszadźi! — odrzekł w ogromnym śmiechu Latarka. — Niech się przewiezie na starość, bo całe życie piechci chodźiła!

Dzieci pochwyciły kobieciny, jakby te mrowiły grudek ziemi, czy robaka i w przeraźliwym krzyku poniosły za traktor.

— O diobli! Piloty! A przybijciez mnie na krzyż, kiej mi pole zabieracie! — krzyczała.

Traktor ruszył znowu naprzód, popędzony wesolymi okrzykami dzieci i rozpaczliwym na głos lamentem Dudkowej. Łodecki, Latarka i oraze śmiali się do rozpuku. T tuż zza okólnych sąsiedzkich pól odzywały się na przemian to żartobliwe, to oburzone głosy.

Orazcy w pobliżu Moreń Maciek przestał gapić się na spółdzielców. Lecz nie chwycił za plug, tylko stał nad miedzą i dumol. Postępował w wytyczając oczami linie miedzy.

— Cóż ty tak podgłasdas, a nie orzesz? — głos żony przerwał mu tę „kombinację agrarną”. Położyła na miedzy wiązkę koniecinny i koszyczek z dwoma garnuszkami.

Maciek nie w zamyśleniu nie mówiąc, odpiął koniowi wędzidło, położył mu przed pysk koniecinę, po czym usiadł na miedzy, zabierając się do śniadania.

— Wies bań, przyszło mi do głowy chłasnąć miedze. Przyjrzyj no się jako krzywo.

— Cheba nie, bo sie narobi piekła i boski obraz.

— Jużi tak. Ale słuchoj: Cegla już od poru lot, jak mu syn podroś, bucol

(Fragment powieści)

nad nami i różnie nom dokucoł. Miedze podorywół. Teraz jego chłystoń siedzi w kryminole, to stary opuścił usy. To jedno. Drugie — wyciepli go ze spółdzielni, za wroga okrzykli — tyz opuścił usy. A trzecie — wstąpił przecie pierw do spółdzielni, to mu sie cheba nie bedzie ochodzić o miedzo. Zrešta, niech mu chodzi, cy nie chodzi, niech sie nawet wścieknie, cy w tylek ugryzie — chłasnę, bo on sie pierwy wciol w moje pole.

— Kiej tak, to chłasnij. Uciagnie kobyła, bo twardo miedza?

— Musi. Weźmies ja za cugle u pyśki i poprowadzis prosto, a jo bede łoil batym. Nawet zaroz — odożył lyżkę — i ty teraz polecisz do domu po motyke i pocupies twardo skibe.

Zapiął kobyłę wędzidło i chwycił za plug.

— Wio karo! A nuz! Wiśta, No!... no!... — postępowaniem dodawał siły skapię. — O, do ciężki cholery! Jakże ja ty prowadzis?

— Caluj mnie albo kaj, krzykać!

Som se prowadź!

Kobyła wryła się kopytami w ziemię, wyprężyła grzbiet i charcząc postępowala z wysiłkiem. Przystawała co parę kroków, w gardle grało jej niby pila w tartaku.

W pół godziny miedza była już „chłasnietą”. Maciek ocierając rekawem pot z czoła, spoglądał z politowaniem na kobyłę, której sierść była lekko pomysłona pianami.

— Krzywo sie zoroło — zechnął się. — Lec babo do domu po motyke, bo trza obcupać miejscami i skibe posiekać, żeby Cegla nie podwołol. A za tyn cos — jo pośniom — przezegnał



Rys. W. Siciński

się i zanurzył lyżkę w zacierze z mlekiem.

— Smacznego! — pozdrowił go idący w poprzek staj, Gruda.

— Bóg zapłać — Moreń zatrzymał lyżkę pod gębą i patrzył podejrzliwie na tamtego. — Obchodzie pole? myślicie już robicie? — zagadnął zawstydzony, bo odwalona w niedłgie skiba miedzy nie mieło o nim świadczyła.

Nawet już trza będzie pomyśleć o tym, żeby kaj konia nając. Moze byście wy przyjechali?

— Hm, hm — chrząknął. — Cymże on po spólniu zapłaci — zastanawiał się w myśli. — Trza by cekać do żniw.

— odrzekł więc — Nie da się, bo mie już pozamawiali, a dyć o konia nie trudno. Nojmie bez kłopotu.

— Wiecie, co wom chciolem pedzić?

— Co?

— Groch posiol z pola syna po Cegle. Ino żebyście mie nie wydali, bo my dos po ludzku ze sobą żyjemy. Przyse dem was ustrzec, bo Cegly ino, ino patrzył. Dobrzeście tymu spłocowi zrobili — spoglądał na odkrojony sznur miedzy. — Jak przyjdzie do cego — jo sie ujme za wami. Odydye, żeby nos kto o zmowe nie posadził i bede dawał pozor.

— E, nie boje go sie, choć on teży ody mnie. Nie zje mie. Stanię ino. Kiedyżbyście chcieli robić w polu? Przyjechołom choć na dzień, chociaż ni ma casu. Nie za pieniądze, ino tak z grzeźności boscie przecie po nieszczęściu.

— Jakbyście mieli ochotę i przyjechali, to bym rod był i wywdzięczył sie kiedy.

— Dobrze, dobrze, przyjadę.

Kara obeschła z piany i krzepko stapała, że nawet bata nie było na nią potrzeba. Ale Maciej był zaniepokojony i śmigał raz po raz, spoglądając to na schyloną nad skibą żonę, to w stronę wsi. Przystanął wreszcie i trzęsącymi rekami ją związał papierosa, z przeciwnie bowiem strony wzdłuż pola szedł Cegla. Przystanął na odkrojonej miedzy, pokłwał głową, zaklął cicho i pieścią potrzasał w powietrzu. Ruszył szybko ku Moreniowej. O parę kroków przystanął.

— Mocie sposób na ozyszanie pola — mruknął. — Ani na traktor nie cecokie, ino sami, jak tyn wilk, na cudze sie z pazurami rzucacie.

— Wyście tak od downa ozyszrali — odburknęła Moreniowa, sproślowawszy grzbiet.

— Jo ozyszroł?... Niech by cie za to noglo krew zalola!

— Ino nie od nogly krwi — odrzeknął Moreń.

— Na coś zoroł?

— Bo mi sie tak podobalo. Tobie miedzo nie potrzebnio, boś ty przecie już w spółdzielni! — uciął go. — Babo, ciupoj skibe! — zawolał odważnie na żonę, bo oto Gruda szedł w poprzek staj sąsiedzkich.

Kobieta podniosła motyke i ostrzem uderzyła w skibe. Cegla zanał za rekojęsć, zakrepił i szarpnął Moreniowa fikneta kozła. Motyka została w rękach Cegly.

— Gwoltuu! Gwoltuu!

More

TADEUSZ MURAS

OJCOWIE i SYNOWIE

WIELOKROTNIE zastanawiałem się, jak wyglądałoby życie moje i mojego rodzeństwa, gdyby nie powstało ludowe państwo, które otworzyło nam szeroko drzwi do nauki, do twórczej, uspołecznionej pracy, do najbardziej odpowiadającego naszym zamiłowaniom zawodu. Gdyby od 1939 roku nie się w Polsce zmieniło, czy uniknęlibyśmy takiego losu, jaki ukształtował życie naszego ojca, stryja, czy ciółki Konstancji?

Trudno o coś bardziej koszmarnego nad życie wyrobniaka, dla którego nawet praca za samo wyżywienie nie zawsze znalazła się we wsi.

Rodzice ojca posiadali wprawdzie małe gospodarstwo, zostało ono jednak po ich śmierci zlicytowane między kilku chłopów za siedziskie za dźwienia. Ojcem moim, jako niepełnoletnim (miał wtedy zaledwie 6 lat) zaopiekowała się rada rodzinna.

Najbliższymi członkami rady, jakis wujek wziął go na „wychowanie”. Jak to wychowanie wyglądało w szczegółach, ojciec nigdy nie opowiadał, jedno wiadomo mi, że po dwóch latach uciekł od wuja, woląc iść na służbę do obcych. Przez 22 lata harował u gospodarzy za kilka korców zboża rocznie. W dodatku przyszło mu brać udział w bratobójczej wojnie ze Związkiem Radzieckim, w której stracił zdrowie. Po tylu latach służby i poniewierki nie pozostało nic, prócz lichego ubrania i ciemnoty, która nie pozwalała nawet zrozumieć własnej krzywdy.

Alle najcięższe lata zaczęły się dopiero wtedy, gdy ojciec założył rodzinę. Matka moja była córką 18-morgowego gospodarza. Dlaczego wyszła za służącego, nie wiem, dość, że wyszła, jak zgroziła całej rodzinie, wskutek czego nie dostała w spadku nie, prócz 40 pretów kwadratowych ziemi, na której wolno jej było postawić sobie domek.

Jedno z najcięższych wspomnień mego dzieciństwa pozostawiło mi w pamięci obraz matki, pochylonej pod ciężarem ogromnej plachty pełnej zielska dla krowy i prosięcia. Zielsko to wolno jej było zbierać na polach gospodarstwach. O wiele później dowiedziałem się, jakim warunkiem był obwarowany ten przywilej: matka musiała zbierać zielsko w ten sposób, żeby po niej nie trzeba było ponownie plewić. Czyż to nie kpiny? Pelonka za zbieranie zielsko!

Ojciec chodził do roboty nieco dalej niż matka. Wracał do domu nocą a wychodził przed świtem. Niekiedy zjawiał się w domu tylko na niedzielę. Przez długi czas oglądałem go tylko w niedzielę. Strzygli wówczas chłopom rano włosy, później sam się goił i siedział w domu, odpoczywając.

Te czasy utkwiły mi w pamięci w kilku żalonych epizodach, dotyczących przeżyć z krową, którą gospodarz odbierał mi, gdy wypasalem gromadzie drogi i rowy. Chodziło im o to, żeby ojciec zjawiał się po krowę sam, zaproponował odrodek i upokorzył się. Byłem przy tym świadkiem kłót i bójek, a najwięcej doskwadało mi to, że ojciec musiał przecieć w jakiś sposób dale satysfakcję swoim chlebodawcom. Niewiele to pomagało. Krowa była zawsze ością w gardle bogaczy, którzy nigdy przekonać nie mogli. Dopiero wtedy, gdy pasaliśmy ją na pastwisku, za które ojciec odrobił lub zapłacił, stonki nieco się poprawiły.

Tak samo żył stryj Józef, któremu wymierali dzieci, a zostało przy życiu tylko jedno z krzywicą. Strzyjenka kiedyś dała się ponieść marzeniu o lepszym życiu i zagrała na loterii u jarmarcznych sztukmistrzów. Tak grała, aż przegrała wszystkie pieniądze za swiniaki, którego w ten jarmark sprzedała. Biegła potem z płaczem po rynku, ale pomogło jej tylko solidne lanie, jakie sprawił jej stryj. To było chyba jej ostatnie marzenie o szczęściu.

Ciółka Konstancja służyła w okolicznych folwarkach. Najczęściej była tylko robotnicą sezonową. Gdy nie miała roboty wracała do któregoś z braci lub siostr. Składała swoje toby przy ścianie i najczęściej nie rozmawiała ze starszymi. Być może, że bracia i siostry nie chcieli z nią rozmawiać. Jest to najbardziej prawdopodobne, bo wreszcie wyniosła się gdzieś w dalsze okolice i tylko kilka razy widziano ją przypadkowo w Łowiczu.

Wujka, który odziedziczył gospodarstwo rodziców matki pamiętam tylko z kłótni. Co rok worywał się w nasze 40 pretów ziemi. Po kilku latach oral już przy samej przycieci tak, że trudno było dostać się do domu. Ojciec wychodził wtedy na próg i kłął, a wujek doskakiwał do niego z hakiem.

Późniejsze lata pamiętam lepiej. Matka szła, a ojciec reperował buty, robił toporzyka, orczyki, grabie. Edukacja matki na krawcową była dość niezwykła. Gdy brała do roboty jakąś część garderoby, której nigdy dotąd nie szyla, prosiła, żeby jej przyniesiono coś starego jako wzór. W nocy razem z ojcem pruli ten „wzór”, krzając z powierzonego materiału takie same kawałki, a potem zszywali obie sztuki. Ile zarabiali w ten sposób, nie wiem, ale chyba bardzo niewiele.

Podobną pełną ryzyka szkołę przeszedł mój ojciec, próbując się w stolarze, ciesielce, mularce i innych fachach przydatnych na wsi. Mimo tak rozległych zainteresowań zawodowych ojciec nie pozostawiał mu nic

innego do roboty, jak tylko odbieranie dziurek u ubrania, które u szła matka.

Rodzice mi chcieli się nawet na pewien czas sprzedać tytoniu, a później założyli kramik spożywczy, były to lata „wielkiej” pomyślności w naszej rodzinie. Nawet wujek z uszanowania zaczął tego roku o dwie skiby mniej przy naszym domu. Podział pracy w rodzinie wyglądał w ten sposób, że matka szyla i prowadziła kramik. Czasem ja zostawałem w domu a matka szła na odrodek, ale to zdarzało się rzadziej. Ojciec chodził do murarki i ciesielski. Nawet jedzenia się wówczas nie wydzielano.

Alle w 1937 roku znów zmieniło się wszystko na gorsze. Ojciec wciąż myślał o zabezpieczeniu naszej przyszłości. Trafiła się okazała nabyca 12-morgowej gospodarzi, więc ojciec wziął ją natychmiast. Bo warunki były pozornie niesłychanie dogodne. Trzeba było złożyć 200 zł. kaucji i spłacić w ciągu 10–20 lat zadłużenia, mającego na tej gospodarce. Najcięższym warunkiem była spłata procentowa, które niesłuchanie, bardzo szybko mogłyby przekroczyć same długi. A w takich wypadkach. Bank Ziemi Łowickiej, dzięki któremu zostaliśmy „gospodarzami” był bezwzględny i przysięgał do wysiedlenia. Dawny właściciel tego gospodarstwa, wysiedlony przez Bank w 1933 r. nie tylko nie mógł spłacić zaciągniętej pożyczki, ale nawet nie był w stanie podać narastającym procentom. To więc na co się powazył mój ojciec, było jawnym szaleństwem. Przecież nie bez powodu gospodarstwo leżało odłogiem przez 4 lata, od 1933 r. Nikt się nie kwapił, nawet bogacze. Dobrze bowiem zdawali sobie sprawę, jak w gruncie rzeczy kosztowna będzie spłata tej ziemi, obciążonej długami, równającymi się dwukrotnie jej wartości. Ale ojciec liczył na czas 10–20 lat... to chyba zapracuje i wydoła. Dla kogo? Już nie dla siebie, dla dzieci. Bo też bardzo nas ojciec kochał. Od tego momentu znów się w naszym życiu zmieniło. Ojciec teraz tym bardziej nie można było utrzymać w własnym polu, chodził do innych na zarobek, ciałł groźne na spłaty procentów. W naszym gospodarstwie pracowała matka z dziećmi. Rezultat był taki, że w r. 1938 i 1939 już w lutym nie woziliśmy żyta do młyna, lecz tukliśmy je w domu i gotowaliśmy żytyną kaszę. Potrawa ta miała swoją tradycję w rodzinie ojca, a u nas otrzymała z tej racji bardzo złożoną nazwę: „to co babcia gotowała”. Mięsa nie było, okragły rok.

Miałem wtedy 13 lat i byłem najpoważniejszą siłą roboczą w gospodarstwie. Były to też najcięższe lata mojego życia. Za sprzedany domek i ogródek we wsi rodzinnej, ojciec kupił tylko konia i wóz. Zapożyliśmy się na kupno pluga i ziarna do siewu. Brak było najniezbędniejszych narzędzi rolniczych. Każdego roku brakowało ziarna do życia i siewu. Musieliśmy je pożyczać i oddawać je po żniwach za 1 q — 1,5 q. A żyto u nas spayało 4 q z morgi. Ziemię zastaliśmy ogromnie zaniedbaną. Zboże niejednokrotnie lepiej się opłacało skosić na paszę niż czekać aż dojrzeje ziarno.

Kariera gospodarstwa mojego ojca zalamalaby się ostatecznie w Kasach Banku. Groził mu nieuchronnie w najbliższych latach przepadek kaucji i zajęcie sprzętu, które ojciec wniósł w gospodarstwo i na koniec wysiedlenia.

Lata okupacji przyniosły nowe niebezpieczeństwa: pożar, stratę krowy, kilka razy straciłsmy konia. Ojciec jednak głęboko wierzył, że pracując wytrwale, postawi gospodarstwo na poziomie spłaty długów. Do dziś nie mogę zrozumieć, skąd ten człowiek miał tyle ślepej wiary we własne siły.

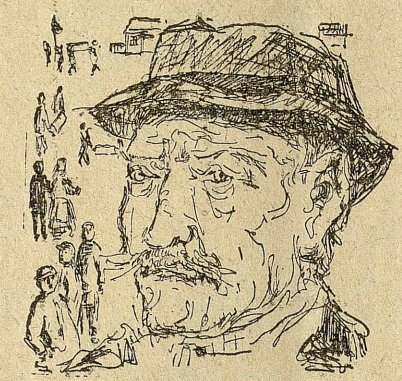
Okres okupacji w jednym mógł tylko ojciec podnieść na duchu. Zmalały (w stosunku do przedwojennej wartości złotej) długi w spłacie. A to, o czym przebiegało na wsi, że jak nadejdzie wolność dawało mu nową, choć niejasną nadzieję.

Od 1945 roku zaczęło się nowe życie. Kontraktacja buraków cukrowych (przed wojną buraki kontraktowali tylko ci, którzy mieli „wzorowe” gospodarstwa) była pierwszą dzwignią podniesienia produkcji żywności. Buraki dostarczały w dostatecznej ilości liści na kisonkę, wysłodków, kukru, no i trochę pieniędzy. Resztę potrzeb ojciec zdobywał z hodowli świń i kur. Poważny dochód dawał krowy, od których mleko dostawialiśmy do mleczarni. Ojciec rzeczywiście postawił gospodarstwo na należytych poziomach. Żyto wprawdzie wydaje plan 12 do 15 q z ha na naszej ziemi V kl., ale za to ojciec kontraktuje len i oleiste, a na kawałku lepszej ziemi buraki. Ma dwie krowy i jedną sztukę jabolwiny. Każdego roku sprzedaje jedną sztukę bydła, 4 do 6 tuczników. Poza tym jest u nas niespotykany dotychczas nabytek: 4 owce, które stanowią dumę mojej matki i siostry. Po wojnie ojciec kupił kierał i już od 1945 roku nie różnił się ścieżki rocznie. Ziemię uprawia starannie, dzięki czemu gleba utrzymuje nawet na piaskach należytą wilgotność. Nawet susza ubiegłej jesieni na polach mojego ojca nie dała się bardzo odczuć. Z obowiązków wobec państwa wywiązuje się w 100 procentach, tylko nie zawsze w pierwszym terminie, bo trudno mu dać sobie radę z młótką w okresie jesiennym, w którym każdy zagon ziemi wola o ręce do pracy. A pozostaje ojciec, nie pozostawiało mu nic

TADEUSZ PAPIER

BILANS RODZINY JAKIELÓW

JAN Jakiel opowiada, że od czasu, kiedy ojciec jego, Wincenty dokupił gdzieś między 1910 a 1914 rokiem 6 hektarów ziemi w Popielawach, zaczyna się powolny upadek ich gospodarstwa. W Czarnocinie działek Wincenty miał 5 hektarów i 30 arów, ale gdzie ziemia czarnocinińska do popielawskiej? Dobra to była ziemia w Popielawach,



Stary Jakiel
Rys. St. Gierowski

urodzajna, buraczana, pszenica rosła wysoko, kłosa ciężkie i duże. Tymczasem u nich na działkowych ziemiach słaby lub mocniejszy szczyk, ale jak ukopać na pół metra, to „luty piach”. Konieczna nie chce rosć w żaden sposób. Popielawy nęciły działka Wincentego. Mógł wówczas wykorzystać sytuację. Zarobił na kolei, pracował tam jako robotnik, babka była wtedy w niedalekich Bieżwodach, dorobili się i postanowili umocnić.

Dokupił więc działek Wincenty te 6 hektarów. Rodzina rozrastała się szybko i w roku 1916 starzy Jakielewie mieli dziewięć dzieci. Miał się nad czym głowić dziadek Wincenty. Dzieci dorastają i trzeba myśleć zawczasu o wymianowaniu. A właściciel już trzeba wianować Najstarszy Andrzej zeni się. Jest to pierwsze wesele w rodzinie, jednakże myśleć trzeba nie tylko o Andrzeju. Wice dziadek Wincenty rozporządza: ziemię w Popielawach oddaje Andrzejowi, lecz żeby ten podział nie krzywdził

EDMUND SAS

Rozmowa z ojcem

BRACIA opowiadali mi, że tego samego dnia, w którym przyszedłem na świat, powiększył się również ubogi inwentarz naszego lichego gospodarstwa o jedno... cielę. Byłem trzecim z kolei synem, sióstr nie mam. Moje przysięcie na świat nie sprawiło ojcu specjalnej radości. Wolałby raczej dwa cielęta na rok a jedno dziecko na lat pięć.

Mój stary, dobry ojciec. Sam on według rodzinnej numeracji, był siódmym z kolei synem, po nim jeszcze dwójka braci i jeszcze dwie siostry. Nic więc dziwnego, że na „swoją” chleb poszedł już w ósmym roku życia. Najpierw na... trzcinę wieś do kumstów. Miał otrzymać lepszą służbę i opiekę. Ale uciekł po miesiącu. Zbili go do krwi kumstowie za wykradanie świńom z koryta kartofli, co czynił z prostego i gwałtownego głodu.

Zapadło więc postanowienie, że ojciec pojedzie do Łodzi szukać szczęścia. Zaczął od terminu u rymarza Mayera. Sypał pod warsztatem razem z psem principala, ale chleba, kartofli i kaszanki już mu nie brakowało. Terminu ojciec nie skończył. Za długo mi było — opowiadał — noszenia drzewa i skrobania kartofli. Poszedł do fabryki — widziałem „nicia” pana Kuntzera, jako pomocnika rymarza. Pracował potem u Rosenblatta, Alarta i Runcera, Gagera, Schweikerta. Ale te wędrowki z fabryki do fabryki nie miały charakteru krajoznawczych wycieczek. Ojciec mógł poznać kapitalistyczne prawo do pracy.

W międzyczasie założył rodzinę — przybywało dzieci. Kochał nas wszystkich bardzo, bardzo też chciał ułożyć nam znośne życie. Najstarszy brat był bardzo zdolny, chciał się uczyć. Kosztował ogromnych wysiłków i wielu wyrzeczeń ukończył aż średnią szkołę. Marzył o pracy lekarza. I wtedy nadziedział pierwszy trudny moment w życiu naszej rodziny. Ojciec musiał odmówić mu dalszej pomocy. Brat nie został lekarzem, chociaż konstytucyjnie miał zagwarantowane prawo do nauki. Cóż kiedy i konstytucja i nauka nie były... „bezpłatne”.

W miarę jak biegnęły lata, sytuacja nasza pogarszała się. Średniemu bratu wypadło zaczynać gimnazjum w latach 1930–31. Poszedł w rezultacie do terminu na tapicerę. Ale nie zdobył tego fachu — zachorował ciężko na płucę, nie było go czym leczyć. Konstytucja nie wspominała ani słowem o opiece lekarskiej nad robotnikami.

Co do mnie — jestem znacznie młodszy od braci, średnią szkołę skończyłem w czasie okupacji na taj-

zbyt młodsze rodzeństwa, Andrzej zobowiązuje się zwrócić ojcu 700 rubli (500, zaraz przy rejencji, 200 w dalszych ratach). Wincenty zapłacił za „popielawy” 1.300 rubli.

W Czarnocinie ziemia przechodziła z ojca na syna. Wincenty zamyślał, że ziemię działkową przekazać synowi Janowi. Jan tedy, po dziadku Wincentym, będzie kolejnym właścicielem działki w Czarnocinie. Ale zanim to nastąpi upłynęło jeszcze długie lata. Nad światem przejdzie straszna burza wojenna, przez wieś przejdą wojska carskie i niemieckie, trzeba będzie ukrywać się przed brankami na roboty, kryć swoje zapasy gospodarze przed rabunkiem. Czarnocin leży niedaleko Łodzi, wielu jest takich, którzy pracują w fabrykach łódzkich. Wincenty jest analfabetą, nie odczyta nigdy drukowanej odezwę SDKPiL, która z rąk robotnika łódzkiego dotarła na wieś: „Klasa robotnicza Polski z entuzjazmem wita zwycięstwo Wielkiej Rewolucji Rosyjskiej... Wspólnie ponosząc ofiary z klasą robotniczą Rosji w walce łącznej i solidarnej o wielki cel obojczy caratu, jednoczy się dziś proletariatu Polski z bratnim zwycięstwem proletariatu Rosji myślą, dążeniem i czynem...”

Alle Wincenty jest daleki od tych spraw, a nurt rewolucyjny, który przechodzi przez wieś, nie porusza go mocniej. Dziadek żyje swoimi troskami, a to, co się dzieje we świecie... „będzie jak będzie”. Dobrze, że załatwiło się syna Andrzeja, a pieniądze uzyskane od niego przekazało się córce Pelagii, która jest w Remiszewicach”. Wincenty jest jeszcze w pełni sił, ma 51 lat i z pewną nadzieją spogląda w przyszłość. A może się poprawi na świecie? Dochodzą wieści o reformie rolnej. Czas, by był najwyższy, w okolicy są wielkie obszary pańskiej ziemi, otaczającej jakby kleszczami chłopięckie działki. Czy miał apetyt Wincenty na tę ziemię?

Dziadek myślał o parcelacji, o reformie. Jednakże nie myślał w ten sposób, jak będzie patrzył na te sprawy, prawie trzydzieści lat później, syn jego Jan. „Kiedy nadeszła Polska” Jan kończył 16 lat, miał już poza sobą trzy oddziały szkoły powszechnej, więcej nie ukończył już nigdy, i nie miał żadnego pojęcia o świecie. W niedalekiej Łodzi robotnicy organizowali komórki KPRP, powstają Rady

Delegatów Robotniczych i niektórzy chłopci na wsi odgrają się panom. Z trudem chłopak mógł odczytać ojcu podsuniętą ulotkę: „Zadania proletariackiej rewolucji polskiej są te same, co zadania rewolucji proletariackiej w innych krajach. Cała władza musi przejść w ręce proletariatu miast i wsi, zorganizowanego w Radach Delegatów Robotniczych”. Dziadek zmiażdżył ulotkę. Nie chciał iść „przeciwko sile”, a najbliższe czasy przyniosły mu potwierdzenie jego „przeznaczenia”. Uchwalono przeciwko konstytucji, w której głozone swobody obywatelskie i wolność przekonań, ale tysiące komunistów szło do więzień. Uchwalono zapowiedź reformy rolnej, a w istocie „było to oszukaństwo”. Przyszedł do władzy chłop Witos, miało być już dobrze, a cena chleba skoczyła z 2.900 marek do 16.000 marek. Wice jakże się narywać z młotką na słońce? Odległe lata rublowe mogły się wydawać istotnie słoneczne. Trąska o przyszłość poryla czoło dziadka głębokimi bruzdami.

W tym okresie trzy razy szedł kondukt pogrzebowy do domu dziadka na cmentarz. Umarło mu troje dzieci. Żałoba żałoba, ale z drugiej strony łatwiejszy rachunek. Zimą 1927 roku, gdzieś w lutym, Wincenty wyprawia wesele. Zeni się przyszły dziedzic gospodarstwa Jan ze Stanisławą Kowalczyk z Woli Kutowej. Prawie jednocześnie w Woli Kutowej odbywa się wesele Jana Kowalczyka ze Stanisławą Jakiel: Jan ze Stanisławą i Stanisławą z Janem. Jak miłany, to miłany! Tak się złożyło, że dziadek nie potrzebował ani odpisywać, ani spłacać córce Stanisławie. Była młoda zima, śnieg, zasy, w małym domu poniżej kościoła, szalała uciecha i radość. Wincenty podpisał sobie, wychodził na dwór, wciągał chłodne, rzeźwiące powietrze... będzie może jeszcze jaśniejsze. Dziadek miał wtedy 60 lat, najwyższy czas na odroczynę. Co prawda trochę niepokojące jest to dożywocie, czasami w napisie syn wygoni z domu, „lub kłiem przyleży”. Z kolei tedy Jan ujął rządy w swoje ręce.

Znowu trzeba było zacząć od spłaty. W najbliższych latach Jan spłacał: bratu Antoniemu 1.500 zł, Stefanowi, który zginął w Niemczech podczas II wojny, 500 zł (gdyby Stefan żył Jan musiałby mu dopłacić jeszcze 1.000 zł.). Najstarszy Andrzej i siostra Pelagia zostali już uprzednio załatwieni ziemią w Popielawach. Stanisława zaś poszła „na miłany”. Tak więc gospodarstwo w Czarnocinie pozostało w jednym ręku. Jan musiał często jeździć do Łodzi za zarobkami lub handlem, zapożyczał się i spłacał.

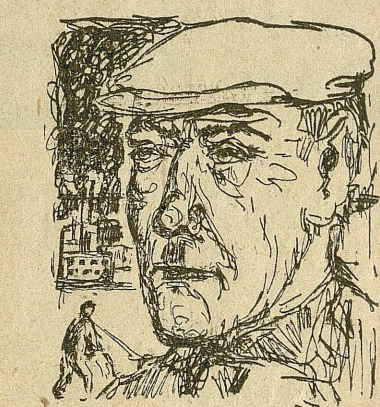
Spłaty były ciężko. „Ale jednego roku, to mnie takie szczęście poddało. Sprzedałem krowę za 330 złotych, sprzedałem 3 świnie za 300 złotych, sprzedałem byczkę za 180 zł. Razem wyniosło 810 zł. To było w roku 1929. Jeszcze kryzysu nie było. Ale później podczas kryzysu, jak jedziłem po wsi komornik, sekwestratorzy, to nic nie mogłem zrobić. W 1928 roku, to żyło było jeszcze 50 zł. Pamiętam jak dzisiaj. A potem jak się zadłużylem! Spłaty nie skończyłem, bo przecież najmłodszemu bratu, którego hitlerowcy złapali, wieniem byłem jeszcze 1.000 złotych”.

Jan przed wojną nie czytał ani gazet, ani książek. Razem z ojcem Wincentym myśleli wyłącznie o ciężkich spłatach, i utrzymaniu gospodarstwa. Jakże perspektywy otwierały się przed średniolowym chłopem Jakielewem? „Trzeba by teraz tak: zliczyć wszystkie dni pracy, wszystko to, co u siebie i u ludzi, a potem zobaczyć, co z tego miałem”. Niewiele w każdym razie. Jednozbrowy dom kryty strzechą, do tej jedynej izby, kuchni trzeba podczas zimy, dostawiać piecyk żelazny, bo „kuchnia słabo grzeje”. Na piecyku można też co ugotować. W izbie stały dwa łóżka drewniane, stół, szafa, na ścianie z boku patronująca pasyjska „i tak się wlecie i wlecie”. Gdzieś w grudniu 1936 roku spaliła mu się stodoła z oborą. Zapalił się u sąsiada Piotra Ceranki, ogień przerzucił się do Jakielewów. Znowu wydatki na odbudowę, a szło ciężko. Dobrze, że znowu ta Łódź z dymiącymi kominami jest blisko, jakoś łatwiej o zarobek. Nawet samemu nie dojeżdża do sprzedawcy. W następnym roku znowu nowy wydatek. „Latem było, po robocie wody się napilem i koniec”. Przyszło zapalenie płuc, wyjazd do lekarza w Tuszyńku, nowe ograniczenia. Skąpić groziło do grosza, bo „jaka przyszłość? „Tyle, co z dnia na dzień człowiek żyje. Żeby odpoczął, poczytał, gdzie tam, ani mowy o tym. Bo to tak: człowiek zasieje, ano rośnie. Ale jak urosnie, to trzeba na podatki, na jakąś pluźnię, na buty... a dzieci?”

Jan we wspomnieniach przeżywa śpiesznie okresy, nad którymi powinien zatrzymać się dłużej. Chłociążył lata wojny z Hitlerem i okupacją, przed którą jeszcze w 38 roku KPP przestrzegala, że „każdy krok pozostawiania u władzy tej awanturniczej bandy fargowiczów wyjdzie nasz kraj, nasz niepodległość pod kuratelę odwiecznych wrogów polski — junkiersko-imperialistycznej klitki hitlerowskiej”. Podczas wojny kiedy brat Stefan. Gospodarstwo Jana trzeszczy. Jan boi się bankructwa. Spójrzcie teraz, co się dzieje po wojnie. Pojawia się na widowni zdrajca Mikołajczyk, ale Jan pamięta, że już raz chłopci spazylili na Witosie. Zdrajca ucieka, a gospodarka Jana zaczyna na-

brać rumieńców życia. Bo to i pomoc ze strony państwa, mniejsze podatki, pożyczki i najważniejszy znowu rachunek — z dziećmi.

Najstarszy syn Jana, Zdzisław (kończy w tym roku w czerwcu 24 lata) ożenił się w Zamościu, gminy Będków. Zdzisław skończył 7 oddziałów. Jan dał mu dotychczas dwie krowy, 174.000 zł. (przed wymianą), kilka owiec. „Zdzisław ożenił się na gospodarstwo. Ale jest tam jednym ze spadkobierców, tyle jego własności, że żona ma trzy morgi. Drugi syn, Józef jest w wojsku, skończył szkołę podoficerską, ma stopień kaprala, dobrze mu idzie”. Jan choć przewidywał, że ten syn wróci na gospodarstwo, ale „bo ja wiem, jaki teraz umysł człowieka jest? Trzeci syn, najmłodszy Edward nie wchodzi w ogóle w rachubę, jako przyszły dziedzic gospodarstwa. Jest teraz w III klasie Liceum Rolniczego w Czarnocinie. Z Czarnocina, znajduje się w tym liceum 30 młodych ludzi na ogólną liczbę 137 studiujących, pochodzących z okolicznych wsi. Józef za rok pojedzie dalej, na praktykę rolniczą, a ma możliwość studiów na uniwersytecie. „Nawet dobrze się uczy. Byłem na zebraniu, mówili o nim. Zawsze ojciec cieszy, jak dziecko chwala, bo jak gania, to nawet nie chce się przysię do domu”. Ten ma przyszłość zapewnioną! A Józef? Też nie wiadomo, czy zechce wrócić na gospodarstwo.



Jan Jakiel
Rys. St. Gierowski

Dofitychasz niewyraźnie mówi o tym, ma jakieś inne widoki. Jan „ma poważne” zmartwienie. Liczy jeszcze na to, że może Zdzisław wróci z Zamościa do Czarnocina. „Tak się mówi, jak dzisiaj jest, może spółdzielnia produkcyjna wyjdzie i pojedzie się do spółdzielni. Zgrzyu nie ma. A co by było przed wojną? Nieliczna rodzina, trzech synów, lecz jakich bym wtedy rozdzielił? A dzisiaj? Anim się obejrzał i zostałem na gospodarce sam. Ojca pochowałem przed trzema laty, umarł w 82 roku życia, jeszcze doczekał się tych czasów, o których mówili po pierwszej wojnie w ulotkach.

W bilansach gospodarczych, Jakiel nie pisze już, ile tysięcy dał temu lub owemu dziecku, lecz notuje:

W roku 1950 sprzedał państwu 26 swego pięciohektarowego gospodarstwa 22,5 m. kartofli, 4 metry żyta. Zakontraktował 20 arów lnu. „Chociaż ze lmem, to jeszcze sprawa niewyjaśniona i było zmartwienie. Zakontraktowałem w słomie, a spółdzielnia chciała przy odbiorze, żebym oddał włókno. Przywiozłem do domu. Trochę żona zmigoliła, reszta leży”. Sprzedał 4 świnie (2 zakontraktowane i 2 „wolnorynkowe” — oczywiście wszystkie do spółdzielni). W 1951 roku sprzedał w ramach skupu 5 metrów zboża (wyznaczone miał 4,89), kartofli 12,5 i 1 metr zostawił według zarządzenia na wiosnę. Oprócz tego do liceum rolniczego na burzę zawiózł gratisowo 2 m. ziemniaków. Sprzedał państwu 3 świnie, krowę o wadze 510 kg, 2 cielęta. Na 1952 rok zakontraktował dotychczas 2 świnie, ma zamiar oczywiście zakontraktować więcej.

„Znacie normy, co otrzymałem za sprzedaż żywa i płodów. Jestem wynagrodzony w zupełności”. Jakiel nie mówi o tym, że kraj wchodzi w III rok Planu Szóstoletniego, nie wyliczyłyby może wszystkich obiektów przemysłowych, nie zna nowych miast, wyrosłych na dawnych ugorach, przedstawia sytuację gospodarczą „taka, jaka dzisiaj jest”. Jan ma teraz: 1 konia, 3 krowy, świnie, 2 owce duże i 4 małe (jedną od ZSCh na spłaceniu), korzysta z siewnika SOM-u, posiada skibowice, młocarnię, kierał. Pożyczkę Narodową wpłacił jednorazowo 180 zł. zamiast 160, podatki uiszczył w 100 proc. Otrzymał dyplomy uznania od Wojewódzkiej Rady Narodowej i Gminnej Rady Narodowej. Po ostatnim skupie zboża wstąpił do PZPR.

Alle jeszcze wielu rzeczy nie powiedział Jan Jakiel, a które wypowie, gdy jeszcze więcej pokorta książek, które nadchodzą do biblioteki gminnej, i które syn przynosi ze szkoły, gdy zetrze się w starciach z wrogiem klasowym, który jeszcze nie zrezygnuje z walki, ale przeciwko któremu chłop ma pomoc w robotniku, pomoc państwa ludowego, tworzącego swoją pierwszą Konstytucję dla ludzi pracy.

Tadeusz Papier

ANDRZEJ SMUGA

NA PRZYKŁADZIE „ZAŁOGI”

(Artykuł dyskusyjny)

PRZED rokiem toczyła się na łamach „Sztandaru Młodych” długa i wyczerpująca dyskusja nad scenariuszem filmu młodzieżowego „Załoga” (*). W dyskusji tej wypowiadali się krytycy filmowi, kierownicy i młodzież Szkoły Morskiej w Szczecinie, działacze młodzieży i inni. Po raz pierwszy w dziejach naszej kinematografii szerokie rzesze widzów kinowych otrzymały możliwość zabrania głosu w sprawie zamierzeń twórczych realizatorów filmu, wyrażenia swojej opinii, wskazania na zalety i wady przyszłego dzieła. Było to zjawisko o rosnącej aktywności naszej nowej widowni, o jej rosnącym wyrobień ideologicznym i artystycznym.

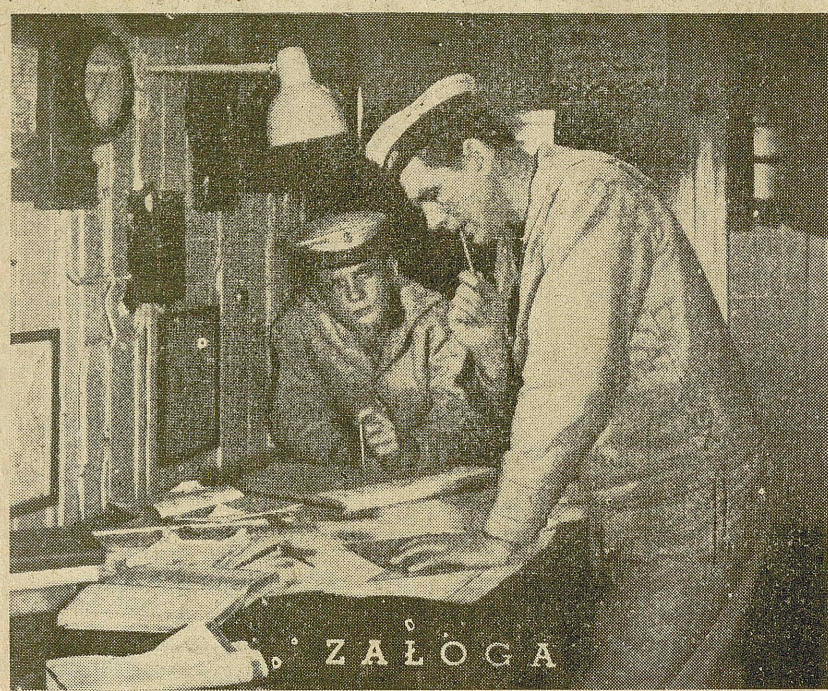


Foto Film Polski

cznym, o stałym podnoszeniu się poziomu kulturalnego naszego społeczeństwa. Ze względu na temat, szczególnie cenne były wypowiedzi młodzieży. Film miał przecież opowiadać o jej życiu, o troskach i radościach nowego pokolenia młodych budowniczych socjalizmu, dla nich też miał być w pierwszym rzędzie przeznaczony.

Dziś, gdy „Załoga” weszła już na ekrany naszych kin, warto zastanowić się, czy i w jakim stopniu zarzuty sformułowane w toku dyskusji zostały przez realizatorów uwzględnione, pomogły im w pracy, dopomogły przezwyciężyć błędą dramatyczną i ideologiczną koncepcję scenariusza? Warto się zastanowić, czy wysiłek włożony w zorganizowanie i przeprowadzenie dyskusji nie poszedł na marne?

Aby odpowiedzieć na te pytania, przypomnijmy niektóre wypowiedzi z dyskusji i porównajmy je z gotowym dziełem. Porównanie takie przyda się na pewno zarówno naszej publiczności, jak i samym realizatorom.

Podsumowując dyskusję w Nr. 91 „Sztandaru Młodych” wiceminister Kultury i Sztuki Włodzimierz Sokorski pisał: „Zamiast socjalistycznych konfliktów, wyrastających z istotnych przejawów naszego życia, otrzymaliśmy dobrze nam znany schemat pozytywnego bohatera mieszczańskiej młodzieży. Wódka, bumelantstwo, oszustwo, cynizm i „zryw bohaterów” w chwili niebezpieczeństwa. No i oczywiście happy end z nawróceniem”. Brak w scenariuszu „socjalistycznych konfliktów” wyrastających z istotnych przejawów naszego życia” wypłynął z braku znajomości życia naszej młodzieży, z błędnego podejścia do zagadnienia walki klasowej i roli organizacji ZMP. Oto, co na ten temat pisali dyskutanci:

„Spotykamy w „Załodzie” te same błędy, które możemy wytknąć „Pierwszemu Startowi”, do których należy przede wszystkim pokazywanie walki klasowej na przykładzie kilku uproszczonych, schematycznych typów, znów widzimy stanowiący niedowład w pracy organizacji ZMP-owskiej. Wygląda mi się, że zawsze gdy koło ZMP i jego praca wychowawcza, jego walka z wrogiem, postawione będzie na marginesie, jak to ma miejsce w „Załodzie”, zawsze wtedy obraz środowiska młodzieżowego będzie fałszywy. K. T. Toeplitz — nr. 40 „Sztandaru Młodych”.

„Najwięcej nas boli to — pisał w nr. 53 uczeń Szkoły Morskiej Zdzisław Mackiewicz — że całkiem błędnie została wykazana praca ZMP. Organizacja na terenie szkoły została przedstawiona w świetle jakiegoś bractwa wzajemnej adoracji, a nie bojowego i produkującego oddziały młodzieży”.

W wypowiedziach tych streszczają się główne zarzuty wskazujące na najbardziej zasadniczy błąd ideologiczny scenariusza, mianowicie: Kłowe widzenie rzeczywistości nie dość stanowczo ukształtowało fabułę scenariusza. To właśnie zadeklowało o braku nowych, socjalistycznych konfliktów, o postawieniu w centrum filmu moralistycznie ujętej historii „nawrócenia” bohatera mieszczańskiego, o marginalizowaniu zagadnienia walki klasowej i roli organizacji ZMP.

Zobaczmy teraz, jak zagadnienia te zostały przedstawione w gotowym filmie.

Główną postacią filmu pozostał Antek Bugaj — chłopak, który nie chce się uczyć, bumeluje, korzysta z usług tzw. „murtyna” Józka Wietehy, wymyka się ze szkoły na cło-

nocne libacje, oklamuje wszystkich dookoła, w krytycznym momencie egzaminów popełnia oszustwo (oszustwem jest zresztą również korzystanie z pracy Józka) — i dopiero na skutek niefortunnego dlań zbiegu okoliczności (służba w kabinie nawigacyjnej w czasie mgły, brak możliwości skorzystania z „pomocy” Wietehy, co powoduje zły wyznaczenie kursu statku) przynajmniej się do popełnionych przestępstw. Tak więc w osobie Antka pozostał reprezentant mieszczańskiej młodzieży. Jest „wódka, bumelantstwo, oszustwo, cynizm”. Co gorsza postać ta nie ma w filmie odpowiednio mocnej przeciwwagi, którą w zamierzeniach realizato-

wychować jednostek zdrowych (Wieteha), a zdemaskować szkodnika (Bugaj), które w swojej działalności zupełnie zapomnieli o czujności i walce klasowej?

Błędne ustawienie roli organizacji ZMP doprowadziło do całkowitego zamazania sprawy walki klasowej w filmie. Brak klasowej motywacji postępowania Antka i niesprecyzowanie jego oblicza ideowo-politycznego sugeruje, że w „kolektywie „Załogi” nie ma wroga klasowego, że na terenie młodzieżowym walka klasowa już wygasła. Podobnie przedstawia się sprawa kapitana Kapery, w którym możemy wprawdzie dostrzec dobrze zamaskowanego wroga naszego ustroju, ale którego postępowanie realizatorzy starają się motywować przede wszystkim względami ambicjonalno-uczuciowymi. Ucieczka statek jasnym, zdecydowanym postawieniem sprawy walki klasowej doprowadziła do urwania głównego wątku fabularnego Antka, Józka i Kapery. Rehabilitacja Antka, „zryw bohaterów” w chwili niebezpieczeństwa i happy end z nawróceniem w pierwszej wersji scenariuszy były akcentem zdecydowanie fałszywym. Realizatorzy postanowili to usunąć, nie dali jednak w zamian żadnego innego rozwiązania, pozostawili próżnię. Jest to jaskrawy dowód zupełnej beznadziejności realizatorów, którzy na skutek fałszywego, nieklasowego ustawienia tematu znaleźli się w sytuacji bez wyjścia.

Okazuje się, że zarzuty wysunięte w dyskusji były słuszne. Godziły one nie w poszczególne detale i epizody, ale w zasadniczą koncepcję filmu, która nieestety pozostała niezmieniona i w wniosła do gotowego filmu cały balast tak ostro zwalczanych w dyskusji błędów ideologicznych.

Nie lepiej przedstawia się sprawa budowy dramatycznej filmu. I na tym odcinku dyskusja dostarczyła wiele ciekawego materiału, z którego realizatorzy nie skorzystali:

W nr. 40 „Sztandaru Młodych” K. T. Toeplitz pisał: „Załoga” w istocie obok wad ideologicznych ma poważne błędy dramatyczne”. I dalej: „Na dobrą sprawę bowiem cały ładunek dramatyczny „Załogi” zostaje wyczerpany już w momencie poprzedzającym bezpośrednio wyjazd absolwentów Szkoły Morskiej na rejs. Dalszy ciąg filmu, dla którego pretekstem staje się niczym nie umotywowane

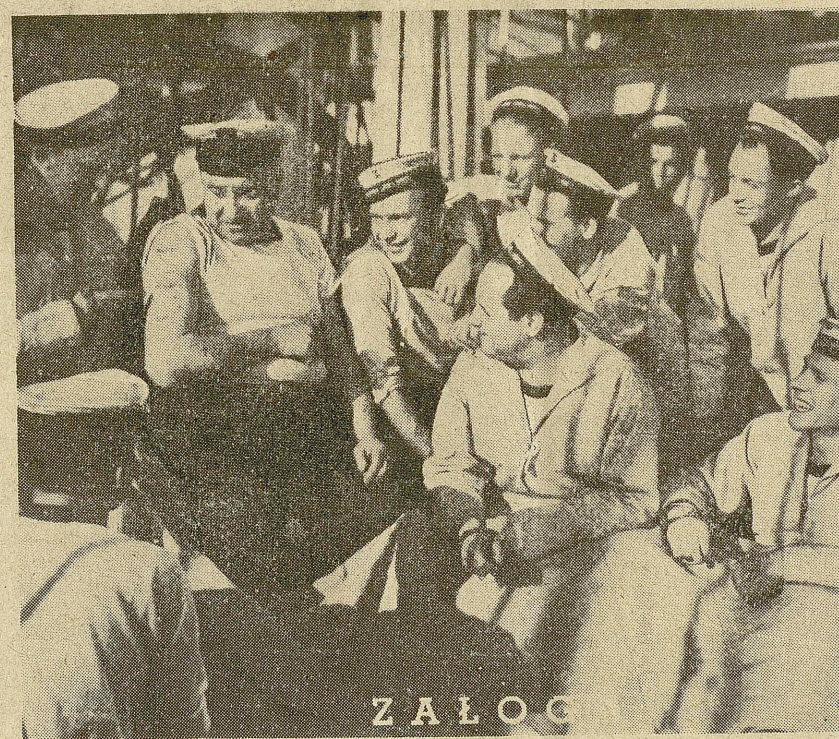


Foto Film Polski

postępowanie Józka, który w ostatniej chwili cofa się przed zdemaskowaniem Antka (odwołanie go na rozmowę przez ojca nie może być traktowane jako poważny powód), jest wyraźnie błędny i koncentruje w sobie największe usterek „Załogi”.

Gotowy film potwierdził słuszność tego zarzutu: akcja filmu rwie się, nie wzbudza dostatecznego zainteresowania widza. O ile na terenie szkoły bumelantstwo Antka i jego oszustwa układają się w dość logiczny, konsekwentny dramatycznie ciąg wydarzeń, o tyle podczas rejsu sytuacja staje się coraz bardziej naciągana, nieprawdopodobna i rozpada się na luźno tylko związane ze sobą epizody. Na skutek wprowadzenia całego szeregu scen i epizodów o charakterze reportażowym, nie leżących na linii rozwoju fabuły, napięcie dramatyczne podczas rejsu opada i dopiero przy końcu filmu, w momencie wypadku z Bugajem i wejściu statku w mgłę, w sposób gwałtowny, nieprzeglądany dramatycznie osiąga swoje pierwotne nasilenie.

Realizatorzy pozostawiając nienaruszoną koncepcję dramatyczną pierwszej wersji scenariusza, nie znaleźli dodatkowych momentów na jej umotywowanie. Zachowanie się Józka, który w ostatniej chwili cofa się przed zdemaskowaniem Antka, jakkolwiek sytuacyjnie zostało nieco zmienione (Józek wchodzi do kajuty kapitana zastając tam ojca), nie ma jednak poważnego umotywowania. W konsekwencji cały rysunek psychologiczny sylwetki Józka i jego dalsze zachowanie się na statku, to jeden wielki ciąg nieporozumień i zafałszowań.

Niewybaczalnym błędem dramatycznym jest również urwanie głównego wątku w punkcie kulminacyjnym i zakończenie filmu piękną i

słuszną ideologicznie, ale nieprzygotowaną dramaturgicznie sceną spotkania „Daru Pomorza” z „Batorym”. Epizod ten nie wiąże się z rozwojem fabuły, pojawia się niespodziewanie jak „deus ex machina”, aby ratować ogólny „wydźwięk”.

Skożo już mówimy o dramaturgii, warto przypomnieć, że dyskusja jasno wykazywała nierealność poszczególnych sytuacji i fałszywość zmyślenia, nieopartego na realiach konfliktu głównego. Oto co na ten temat pisali dyskutanci:

„Błędem jest także to, że Antek leżący przez dwa lata (autor zapominał o współzawodnictwie w nauce) zdaje egzamin, kończy z pierwszą lokatą dzięki profesorowi, który daje mu specjalnie przygotowane dla niego pytania. Przy egzaminie pytania losuje się”. I dalej: „Nigdy tak nie było, nigdy tak nie będzie, żeby absolwenci szkoły prowadzili statek w takich trudnych warunkach jak mgła”. (Piotrowski Andrzej — uczeń PSM — nr. 53 „Sztandaru Młodych”).

A oto inna wypowiedź: „Niektóre ujęcia scenariusza wzbudziły u nas burzę śmiechu, bo trudno brać poważnie takie sceny, jak przywitanie uczniów powracających z rejsu (obwieszeni ananasami), albo spuszczenie nóg za burtę, względnie, żeby uczeń nie mający pojęcia o wykreśleniu kursu zdał egzamin na I-szą lokatę (gdzież byli koledzy, świadomi ZMP-owcy, gdzież sama organizacja)? (Danuta Kobylńska — uczennica PSM — nr. 53 „Sztandaru Młodych”).

Realizatorzy pod wpływem dyskusji usunęli cały szereg nierealnych scen, jak chociażby ten powrót z rejsu, czy spuszczenie nóg za burtę, zmienili detale i szczegóły. Natomiast nierealne, nieprawdziwe sytuacje, które podważały i burzyły zasadniczą koncepcję filmu (sprawa egzaminu i pierwszej lokaty Antka, oraz prowadzenie statku podczas mgły) pozostały nienaruszone. Artysta ma prawo do pewnych dowolności i wyboryzowania faktów, nie ma jednak prawa do budowania konfliktu na wydarzeniach nierealnych, nieprawdziwych.

Reasumując możemy stwierdzić, że główne błędy i zafałszowania „Załogi” tkwiące w pierwszej wersji scenariusza nie zostały w toku realizacji usunięte. Wydawałoby się, że wysiłek włożony w zorganizowanie i przeprowadzenie dyskusji poszedł na marne. W rzeczywistości jest jednak inaczej. Na przykładzie „Załogi” i

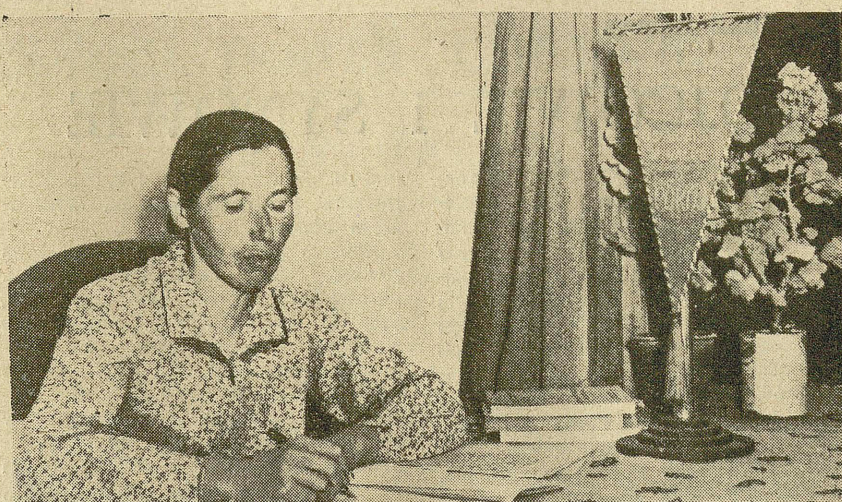
doświadczeniach dyskusji powinniśmy i możemy wiele się nauczyć. Dyskusja udowodniła, że bez klasowego podejścia do tematu, bez doskonałej znajomości życia i jego problemów nie może powstać pełnowartościowy utwór artystyczny, że pisanie scenariusza „przy biurku” jest karygodnym lekceważeniem obowiązków artysty.

Dyskusja udowodniła, że nasz widok staję się aktywną, świadomą siłą, zdolną do współdziałania na odcinku twórczości artystycznej, że jego słusznej i rzeczowej krytyki nie wolno lekceważyć. Przykład „Załogi” wykazał, że trudne i odpowiedzialne zadanie ciąży na twórcach filmu społecznego. Aby im pomóc, dyskusje nad scenariuszami winny być organizowane przed oddaniem filmu do realizacji.

Przykład „Załogi” postawił w jaskrawym świetle niedowład naszej kinematografii na odcinku filmu młodzieżowego. „Załoga” w stosunku do „Pierwszego Startu” jest nie krokiem naprzód, a krokiem wstecz. Warto się nad tym zastanowić, warte wyciągnąć z tego wnioski. Nie wystarczy mieć dobrą wolę zrealizowania filmu o młodzieży, trzeba młodzież znać i kochać, trzeba żyć jej życiem. Bez udziału produkującego politycznie aktywno młodzieżowego, bez drapieżnej, bojowej, młodzieńczej pasji samych twórców nie może powstać film młodzieżowy, nie może powstać prawdziwy obraz życia nowego pokolenia — szczęśliwego i zwycięskiego.

Andrzej Smuga

*) „Załoga”. Scenariusz: Jan Rowejski. Reżyseria: Jan Fethke. Zdjęcia: Adolf Forbert. Muzyka: Witold Krzemieński. Produkcja: Wytwórnia Filmów Fabularnych w Łodzi 1951 r.



Feliks Grzegorzczak, soltys gromady Wilcze Tułowskie w pow. Sochaczew, odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. Foto—CAF

STANISŁAW SIEKIEŃSKI

Dodatki literacko-kulturalne w gazetach

W każdym naszym mieście wojewódzkim wychodzi dziennik, nieraz nawet kilka. Przy tych dziennikach ukazują się niedzielne dodatki, najczęściej społeczno - literackie. Jeżeli zważyć na oczywisty fakt, iż tygodniki literackie nie docierają do masowego czytelnika, natomiast odbiorcą dziennika jest właśnie ów masowy czytelnik, to znaczenie dodatków społeczno - literackich przy prasie codziennej, jako narzędzi upowszechniania wiedzy o kulturze, staje się szczególnie ważne i odpowiedzialne.

Starszy, po części i młodszy, czytelnik posiada wiedzę o Prusie, Sienkiewicz, Konopnickiej i innych ze szkoły. Źródło wiedzy o Czeskiej, Kowalskim, Marcu, Jarochowskiej co powinno stanowić jeżeli nie dodatek kulturalny dziennika?

W praktyce okazuje się jednak, że tylko kilka dodatków pisze w ogóle o książkach. Najpoważniejsze osiągnięcia na tym odcinku — jak się wydaje — posiada „Życie i kultura”, dodatek „Głosu Szczecińskiego”, redagowany przez J. Andrzejewskiego. W „Głosie” o książkach i ludziach można spotkać tu popularne, choć nieuproszczone recenzje, omawiające nie tyle treść, ile problemy książki. Te same akcje, niestety bez powodzenia, prowadzi krakowski „Echo tygodnia”. Książkę poleca się tam jak towar, ze względu na firmę (autor), opakowanie (szata graficzna) i dla świętego spokoju zbywa przy pomocy jednego zdania stwierdzającego walory polityczne utworu. Skutek bywa między innymi taki, że „Spotkanie z Salomeą” M. Jastruna nie odróżnia się niczym od „Ziemi Wyzwolonej” W. Rynkiewicza. (patrz nr. 25 (115)).

Podobny dział — „Co czytać” prowadzi nieregularnie łódzki „Głos Robotniczy”. Pismo to nie wydaje dodatków kulturalno - literackich, ale dołącza co niedzielę specjalne dwie kolumny, poświęcone tym zagadnieniom, nie ucieka ponadto od problematyki kultury i w codziennych wydaniach, ale... oceny książek nie stają na wysokości zadania. Kilkanaście zdań o książce — rzecz prosta — to żaden system zachęty dla robotniczego czytelnika. Wypada ten brak podkreślić, że szczególnym rozgorączkowaniem, ponieważ Łódź posiada wcale liczny Oddział Związku Literatów i polonistów, zdolnych we właściwy sposób popularizować książkę społeczną.

Nie można mówić o książce w oderwaniu od czytelnika, a jednak tak się dzieje w większości dodatków. 8 stronowy „Widnokrąg” — dodatek „Gazety Zielonogórskiej”, czasem niedzielne „Nowiny Rzeszowskie” zamieszczają od czasu do czasu wiadomości informacyjne o stanie i zasięgu bibliotek powiatowych i gminnych, poza tym o tych sprawach głośno. Tymczasem chodzi nie tylko o informację, ale o dyskusję czytelników na tematy kultury. Wydaje się, że pisma wojewódzkie, oparte przecież na setkach i tysiącach korespondentów, które często działają na polu kulturalnym, posiadają szczególnie duże możliwości organizowania dyskusji o książkach. Ankiety, wypowiedzi, opinie — cały ten dociekliwy, chwytający sytuację kulturalną w terenie, aparat poznawczy nie został jak dotąd uruchomiony. Jeżeli tego rodzaju akcje podejmuje tygodnik społeczno - literacki (jak np. „Wies”), to dzieje się to ze wstydem dla redakcji pism masowych, a raczej ich literackich redaktorów. Badania nad stanem kultury prowadzone na konkretnych, wojewódzkich terenach, posłużyłyby niewątpliwie politykowi kultury, publicystyce i pisarzowi do szerszych uogólnień. Takiej pomocy należy oczekiwać ze strony dodatków kulturalno - literackich pism codziennych. Warłoby np. przedyskutować z czytelnikami nagrodzone w zeszłym roku powieści, lub przynajmniej te, które dotyczą terenu obsługiwanego przez pismo.

Tak zwany „przeciętny” odbiorca kultury pragnie zapewne wiedzieć co grają w teatrze, jak grają i czy warto sztukę zobaczyć. Trudno byłoby powiedzieć, że prasa codzienna, na którą nasz „przeciętny odbiorca” liczy, nie recenzuje sztuk teatralnych. Ale jak? Owe „recenzje” robią wrażenie fatalnego uproszczenia tego, co pisze się w tygodnikach literackich. A więc streszczenie (bo czytelnik prasy codziennej (jeszcze nie dorósł do problemów sztuki), ogólnikowe rozważania o realizmie sztuki („przeciętny” nie rozumie metody konkretnego przykładu), następne cenzurka ideologiczna (widza

„przeciętnego” trzeba bronić przed „wrogą ideologią”, wreszcie słów kilka o grze aktorów i dekoracjach. Podobnie z recenzją filmową. Nasuwają się dwie uwagi: po pierwsze nie wolno uprawiać gorszych, uproszczonych recenzji dla rzekomo nieprzygotowanego „przeciętnego” odbiorcy, po drugie nie należy wymogów prasy codziennej traktować jako niższych niż literackiej. A tak niestety sądzą pisarze, których prace na poziomie w literackich tygodnikach przerażają szlampą w dzienniku.

Trzeba, aby nasze dzienniki zainteresowały się bliżej polityką repertuarową teatrów. Najlepsze na tym polu wyniki osiągnął dodatek śląskiej „Gazety Robotniczej” — „Sprawy i Ludzie”, gdzie dyskutuje się publicznie z dyrektorami, reżyserami i kierownikami artystycznymi teatrów potrzeby repertuarowe w oparciu o realne potrzeby widzów robotniczych. Natomiast dzienniki łódzkie przyjmują jedynie repertuar teatrów do wiadomości, rezygnując zupełnie z wpływu na politykę repertuarową.

Osobną sprawą to teatry robotnicze - chłopskie, amatorskie, ożywające w znacznej mierze życie kulturalne w naszych miasteczkach. Czy prasa codzienna interesuje się nimi? Znowu wypadła dość negatywna odpowiedź. Szczęśliwy wyjątek stanowi tu „Widnokrąg” zielonogórski, na łamach którego zabiera głos działacz oświatowy, oświatowcy, aktorzy — amatorzy i rutynowani pracownicy teatru zawodowego wymieniając miernotnie doświadczenia.

Z zagadnieniem teatrów amatorskich wiąże się ściśle sprawa świetlic. Na tym odcinku jest znacznie lepiej. Łódzki „Głos robotniczy” prowadzi od dłuższego czasu dyskusję o pracy tych instytucji, prawie wszędzie spotykamy „kąciki świetlicowe”. Ale... Myślę, że na etapie walki o wychowanie pełnowartościowej, twórczej młodzieży, w okresie walki z chuligaństwem należy wyjść poza ramy pracy tych akcyjnej. Chodzi po prostu o to, że o świetlicy pisze się i mówi głównie wtedy, gdy nadchodzi jakaś rocznica, akademii, urządzany jest konkurs. Uroczystość miła, dzienniki milczą, świetlica nie kontrolowana czynnym okiem korespondenta popada w martwość, aż ją zbudzi jakieś następne wydarzenie. Polityka redakcyjna powinna polegać na stałym i czynnym śledzeniu określonych dziedzin życia kulturalnego, a nie tylko na kwitowaniu narad, wizyt i uroczystości.

Najbardziej zaniebana dziedziną w naszej krytyce na skalę krajową jest chyba — radio. Stan ten potwierdzają i pisma codzienne. „Sprawy i Ludzie” to jedyny chyba dodatek, który prowadzi dział „Z notatnika recenzenta radiowego”, poza tym o sprawach radiowych ani słowa. Tymczasem program radiowy odbierany jest przez setki tysięcy słuchaczy. Formy tego programu nie są atrakcyjne, nieraz i niewłaściwie wymagają stałej obserwacji i kontroli ze strony prasy codziennej. Działy literackie poszczególnych regionalnych upowszechniają obok cennego materiału literackiego także i wątpliwą wartość. Trudno zaiste doszukać się przyczyn milczenia o sukcesach i nieudanych radiu na polu upowszechnienia wiedzy o kulturze. Przyczyna nie leży chyba w tym, że pracownicy redakcji nie słuchają audycji. Idzie tu raczej o niezasadny brak odwagi w zrewidowaniu odcinka literackiego P. R.

Wreszcie sprawa — satyry. Chyba ona własnymi, „prowinencyalnymi” drogami. A jest to przecież dobro, tego biegać broni w walce klasowej. Wydaje się, że poszczególne redakcje dzienników nie dają sobie rady z poprawnym selekcjonowaniem materiału satyrycznego. Tematy często tuż z cyklu nieśmiertelnych — biurokrata, dyrektor centrali używający przysławne służbowego samochodu, gadatliwy mówca, reakcjonista piętnujący się na widok nowej fabryki — brak natomiast humoru z fabryki, zakładu pracy, z terenu PGR-u. No i poziom artystyczny nie może zadowolić.

Grundowna analiza dodatków literacko - społecznych, wychodzących przy prasie codziennej staje się konieczna. Są to bowiem narzędzia podstawowe w terenowej polityce kultury. Ale nie tylko to — pismo codzienne stanowi najczęstszą „szkołę” dla początkującego pisarza. Byłoby już pora ocenić dorobek naszej prasy na tym kadrowym odcinku.

Stanisław Siekierski

JAN GITLIN

„Kombinacje polityczne” oraz to, co istotne

JAK wiadomo, na Konferencji w Poczdamie przyjęto wniosek radziecki, zezwalający Niemcom na produkcję trzech milionów ton stali rocznie, to jest ilości produkowanej w 1932 r., wystarczającej na pokojowe potrzeby kraju. Jednak komisja przedstawicieli monopolu amerykańskich, powołana przez Departament Stanu po Konferencji Poczdamskiej, doszła do innego wniosku. Wniosek ten jest, między innymi, jednym z przykładów i dowodów wielkiej sprzeczności w obozie imperialistycznym.

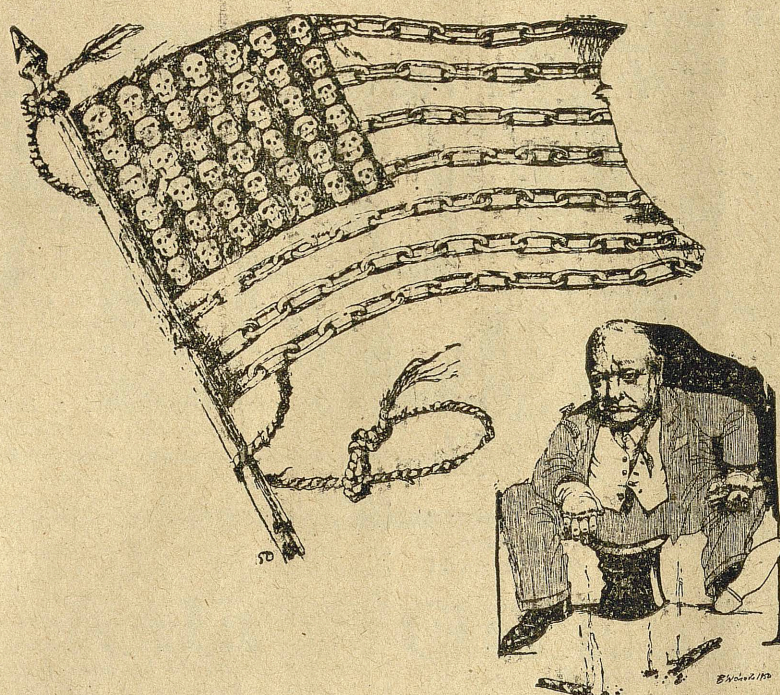
Monopolisci amerykańscy rozmawiali następująco: Wielka Brytania znalazła się w posiadaniu Zagłębia Ruhry, należącej do jej strefy okupacyjnej, co stawiałoby monopolistów amerykańskich w gorszej sytuacji od monopolistów angielskich. Wobec tego 171 amerykańskich firm, które już w 1943 roku (!) ulokowało 420 milionów dolarów w przemyśle niemieckim, znalazłoby się pod kontrolą monopolistów angielskich. Co robić? Wykorzystać słabość finansową Anglii, która szukała pomocy finansowej u bankierów amerykańskich, nie tylko na finansowanie nowych przedsięwzięć w Niemczech Zachodnich, ale na kupno... żywności. Kiedy więc uzależnili Anglię drogą pożyczek i udziałów w jej łupach wojennych, a między nimi w Zagłębiu Ruhry, monopolisci amerykańscy postanowili podwyższyć produkcję stali w Niemczech Zachodnich do 10 milionów ton rocznie, która to ilość stworzyłaby bazę dla nowego przemysłu zbrojeniowego. W ten sposób, poza głównym celem — przygotowania sil do nowej agresji przeciwko Związkowi Radzieckiemu i krajom Demokracji Ludowej, przy pomocy neo-hitlerowskich Niemców, monopolisci amerykańscy uzyskaliby możliwości nowych inwestycji.

W grze tej dominować jeszcze jeden czynnik: bardzo uzasadniona obawa przed ruchem antyfaszystowskim i ludowo-demokratycznym. W tym celu imperialistom amerykańskim i niemieckim potrzebne było stworzenie takiej „kombinacji politycznej”, która nadawałaby kierunek temu ruchowi, „kombinacji” w rodzaju niemieckiej socjał-demokracji Norymberskiej w 1919 roku, która miała za cel wydać masy pracujące faszystom. Ta „kombinacja” stała się schumacherowską socjał-demokracją SPD. Zadaniem prawicowych przywódców socjał-demokracji było udawanie opozycji do pewnej odpowiedniej chwili. Od kilku tygodni, schumacherowcy przestali już lawirować, przestali udawać opozycję. Była to chwila, w której Adenauer w czasie swojej niedawnej wizyty w Londynie i Paryżu, postawił cenę za swoją współpracę w amerykańsko-angielsko-francuskim dziele wywołania nowej wojny światowej. Zadzania te obejmowały: włączenie do Paku Atlantyckiego, polskich ziem zachodnich i Sudetów Czeskich. W tej to właśnie chwili, gdy Adenauer stawiał wojenny program polityczny schumacherowska SPD umilkła. Przestała lawirować.

Nie odezwała się także słowem protestu, gdy Adenauer zapowiedział wprowadzenie ustawy o powszechnej służbie wojskowej, nie odezwała się słowem, gdy okazało się, że nowo-uzbrojona armia niemiecka ma także stacjonować w innych krajach europejskich, nie padło wreszcie słowo protestu, gdy rozpoczęła się terrorystyczna, neo-hitlerowska akcja policyjna Lehra przeciwko Komunistycznej Partii Niemiec.

Fala hitlerowskiego terroru w stosunku do Komunistycznej Partii Niemiec dla spowodowania terroru przeciwko wszystkim bojownikom o pokój, odwetowa polityka Adenauera, spowodowała nieprzerwany łańcuch ostrych protestów we wszystkich miastach Niemiec Zachodnich. Szczególnie bojową pozycję przyjęli związkowcy, oburzeni zdradziecką polityką schumacherowców. Górniczy, metalowcy, włókienniczy, portowcy Bremy, Hamburga, Duisburga, robotnicy Dueseldorfu, 110 tysięcy związkowców Norymbergii, zjednoczyło się w powodzi protestów i wieców, demonstracji i masówek przeciwko polityce Adenauera, wciągając dzień 7 lutego — otwarcia debaty w „parlamentarystycznym” boisku nad ustawą Adenauera o powszechnym obowiązku służby wojskowej — zebraniem dziesiątków tysięcy demonstrantów przed parlamentem, żądających odwołania projektu tej ustawy. Ważne jest to, że nie tylko robotnicy, nie tylko chłopi, ale także inteligencja Niemiec Zachodnich w osobach byłego kanclerza Wirtha, pastora Niemöllera, Millera i Heleny Wessel, b. przewodniczącej centrowej, występują przeciwko planowi remilitaryzacji Niemiec, a za połączeniem Niemiec we Francję Narodowym pod przewodnictwem klasy robotniczej, przeciwko otwartej dyktaturze wojennej Adenauera i przeciwko takim przywódcom SPD, jak Christian Fette i Hans van Hof, którzy stali lawirowaniem wydają naród niemiecki na pastwę Departamentu Stanu i swoich własnych imperialistów.

Jan Gitlin



JAN GRUZEWSKI

JAK DOBRY SPRZEDAWCA...

40 lat temu, kandydując do parlamentu z ramienia liberalów, Churchill tak opisywał skutki ewentualnego zwycięstwa Torysów: „Korupcja w kraju, agresja na granicę, sentymentalizm całym wiaradrami, patriotyzm i imperializm na miarę imperialnych kufłów, droga żywności dla milionów, tania siła robocza dla milionerów”.

Od 40 lat Churchill realizuje ten właśnie program Torysów. Ale dlatego musiał go z biegiem lat rozszerzyć. Był to bowiem bieg lat historii, mierzacej swą zwycięską rewolucją i pogłębiającej rozkład gniący kapitalizm. Program rozszerzony przez Churchilla po II-giej wojnie światowej da się lapidarnie wyrazić jego własnymi słowami: „Kiedyś W. Brytania nazywano Imperium”.

Imperium rozlatuje się i nie ma takiego sposobu w świecie burżuazji angielskiej, ani i takiej już czelności, aby temu zaprzeczyć.

Mówi się wszak wyraźnie o okupieniu Kanady przez Stany Zjednoczone — wniosek taki wpłynął do Kongresu. I nie tylko Australia i Nowa Zelandia zależą już finansowo od Wall-Street, ale także dawne kolonie ogarnia bunt, który, na ile może eksploatować imperializm amerykański, mnoży trudności Anglii na Bliskim i Środkowym Wschodzie.

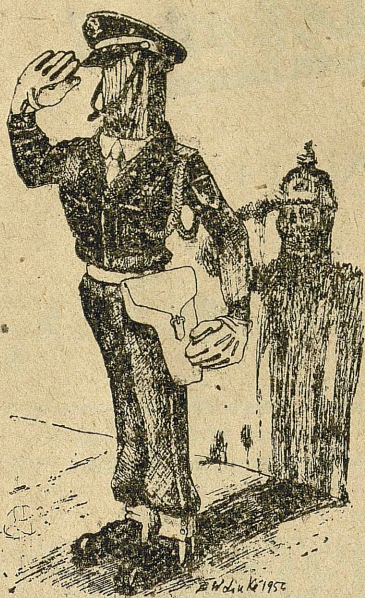
Churchill, po powrocie z Waszyngtonu, mówił wprawdzie w Izbie Gmin blagiersko: „Nigdy nie uważałem, żeby Wielka Brytania miała prowadzić targi ze Stanami Zjednoczonymi, gdyż jeśli my pracujemy z Ameryką bez zgrzytów na Dalekim Wschodzie, to ona winna czynić to samo w stosunku do nas w rejonie Bliskiego Wschodu”. Ale sytuacja jest tak jasna, że nawet „Times”, usiłujący na podobieństwo Churchilla ukryć haniebny jego zdradę w Waszyngtonie, stwierdza, że — mimo zapewnień ze strony Ameryki, iż to nie uczyni nic bez zasięgnięcia opinii Wielkiej Brytanii — „istnieje niebezpieczeństwo, że w nagłym wypadku może pozostać zbyt mało

czasu, aby prowadzić dyskusję... Włóduje mu, laborzystowski „Daily Herald”, oszukujący masy i grający rolę oszukiwanego przez konserwatystów, pisząc niewinnie: „Istnieje jednak niebezpieczeństwo, że Churchill nie zdoła wywrzeć usmierzającego wpływu na te podłamy opinii amerykańskiej, które się opowiadają za rozszerzeniem wojny w Korei”. Komentarz „Daily Herald” utrzymany jest w takim tonie, jak gdyby partia laborzystowska nie była uprzednio u władzy w Anglii, jak gdyby obecna polityka Churchilla nie była kontynuacją polityki laborzystów, jak gdyby Attlee, jej przywódca, będąc niedawno premierem nie współpracował z Trumanem w przygotowaniu nowej wojny światowej.

Attlee, kładąc fundamenty pod obecną politykę Churchilla, był często pod obrzucaniem „krytyki” konserwatystów... Churchill na przykład ostro krytykował Attlee za oddanie dowództwa nad „flotą atlantycką” Amerykanom, sam jednak wyraził na to zgodę w Waszyngtonie. Z kolei Attlee, „krytykując” obecnie politykę Churchilla, i tak to „krytykując” się wzajemnie, obaj przywódcy nie tracą żadnej okazji realizowania polityki wyprzedaży imperium i godzenia w najżywniejsze interesy najszerzych mas narodu.

O zdradzie Churchilla najwyraźniej mówi amerykański dziennik wielkokapitałistyczny „New York Times” (i to po wizycie Churchilla w Trumanie): „Churchill dał próbkę tego, jak należy mówić o jednej i tej samej rzeczy w dwóch różnych formach. Jak dobry sprzedawca, który ma różnych klientów, przedstawiał swoje artykuły w najlepszym świetle, najpierw w Waszyngtonie, potem w Londynie”.

Jak widać, Churchill ukrył przed parlamentem angielskim wszystko, co istotnie określa stopień zaprzędania imperium w służbę amerykańską. A przecież w przeddzień jego mowy minister budżetu, Butler, nakreślił w Izbie Gmin ponurą obraz przyszłości, jaki rząd Churchilla szkuje ma-



B. W. Linke

som pracującym z chwilą wejścia w życie w marcu nowego budżetu. Butler zamierza zaoszczędzić 475 milionów funtów szterlingów, potrzebnych na co... na zbrojenia, przez jeszcze większe obniżenie poziomu życia angielskich mas pracujących. Będą zredukowane wydatki na budownictwo mieszkaniowe, na świadczenia socjalne i zdrowie publiczne, redukcji ulegną tysiące urzędników państwowych, wzrosną ceny na szereg podstawowych artykułów żywnościowych i włókienniczych.

Tak wygląda prawda o rządzie Churchilla, który — jak przed każdą kampanią wyborczą — tak i w czasie ostatniej, przetrwał narodowi dobrobyt i „walkę o pokój”. Ale już po kilku miesiącach jego przyjacieli i ministrów skarbu, Thorneycroft, oświadcza cynicznie: „Żadna partia nie jest w stanie dotrzymać swych obietnic wyborczych, po kilku miesiącach dzierżawia władzę”.

I to jest kłamstwem, kłamstwem burżuazji zdradzającej naród. Bo naród angielski, bo jego masy pracujące wiedzą dobrze, że obietnice wyborcze mogą być dotrzymane, tylko — nie przez partię laborzystowską i na pewno nie przez partię konserwatystów. Masy pracujące Anglii wiedzą, że w krajach Demokracji Ludowej wszystkie obietnice wyborcze zostały dotrzymane.

Nie ulega wątpliwości, że obecne rządy konserwatystów są ich ostatnimi rządami. Dowodzi tego wzrastająca presja na rządów opozycja, coraz częstsze wybory komunistów na kierownicze stanowiska w związkach zawodowych, dowodzi tego ostatnio założone towarzystwo wybitnych naukowców angielskich „Wiedza w służbie pokoju”; świadczy o tym coraz większe zainteresowanie angielskich mas pracujących osiągnięciami w Związku Radzieckim i krajach Demokracji Ludowej, tak jak świadczy o tym ruch po-koju, obejmujący w Anglii coraz większe rzesze ludności.

Jan Gruzewski

OJCOWIE i SYNOWIE

(Dokończenie ze str. 5)

stało ich zaledwie trzy pary. Ojciec czeka na powstanie POM-u w okolicy a może nawet...

W domu pojawili się po raz pierwszy w naszej rodzinie biały chleb i mięso. Może się to wyda dziwne, ale dopiero w 1946 roku pierwszy raz kupili mi rodzice garnitur.

Widmo głędy i zupełnego upadku, jakie wyglądało do nas z każdego kąta, jest już dzisiaj tylko wspomnieniem. Bo długi, straszny długi, jakie ciężary na naszym gospodarstwie rewolucja zdjęła z bark ojców, jakby to ona spłacała ojców dług, zaciągnięty wobec lat jego zawziętej, straszliwej ciężkiej a niewdzięcznej pracy. Oddłużenie mało i średnioludnych przez Rząd Ludowy ojciec przeżył bardzo głęboko i bardzo swoiście. Po raz pierwszy w sposób istotny zobaczył ustrój społeczny. Zobaczył go dlatego, że był nowy, przeciwny do tego, w jakim się urodził. Tamten odczuwał jak powietrze, choć było to, dla takich jak mój ojciec, powietrze żarzone morem. Kiedy mawiał wówczas: nasz los zależy od naszej pracy, przebiegłości i upartości, miał swoją rację. Razumiał, że jemu nie pomoże nikt i nic. Zyl wobec tego złudzeniem, że pomoże sobie sam. Teraz po raz pierwszy zdmusił się, jak nigdy w życiu. Długi zdjęte. Zdejęła je ustawa, ustawa powtarzała często, osławiając się z tym słowem, które dawniej oznaczało zawsze dla chłopa — nieszczęście.

I po raz pierwszy w życiu ojciec mógł zrozumieć, że za ustawami stoją ludzie a nie boski porządek rzeczy. Zrozumiał, że kiedy on tyrał przed laty, wówczas w gorszych często warunkach walczyła klasa robotnicza i wywalczyła mu lepsze życie. To polityczne przeżycie na oczy odbyło się u mojego ojca gwałtownie i dlatego aż nazbyt naiwnie. Optymizm, jaki go ogarnął, taknął nowych „cudów”, cudownego wypełnienia się w życiu wsi każdej ustawy.

Dlatego nowe lata nie poskapały mu i zawodów, w których miał się dopiero uczyć prawdy w twardej prawach rewolucji, o walce i poświę-

ceniu, które wzmacnia, upowszechnia i rozwija zdobywcę ludu pracującego.

Jednym z takich zawodów była dystrybucja towarów przemysłowych dla wsi w latach 1945-48. Nie było ponoć nawozów, żelaza, narzędzi, tekstylii, ale „niektórzy” jakimś sposobem przywozili wczesnym rankiem nawóz, dostawali skafki żelazo, dostawali materiały tekstylne. Ojciec przestał więc wierzyć w ZSCh, które początkowo był członkiem. I o ile w 1945 i 46 garnał się do życia politycznego, tak później machnął ręką na wszystko. Kilka razy okradziono wteży spółdzielnię. W miasteczku zaczęli obrabzać w pierze różni sklepikarze i hurtownicy.

Drugim ciosem dla ojca była panika, wywołana przez kulaków decyzję partii i rządu o rozwoju spółdzielni produkcyjnych. Plotki o tym, że rząd będzie odbierał ziemię, pogłoski o wspólnym kotle napelnili ojca nową goryczą. Te 12 mórg, które zdobył dzięki nadludzkim pracy całego życia, były wszak dla niego czymś tak organicznie nierozdzielnym od jego osoby i rodziny... Niedługo jednak reakcja ciszyła się powołaniem bezwstydnym oszczerstw. W Jachowicach powstała spółdzielnia produkcyjna i nikomu ziemi nie odebrano. Każdy natomiast mógł zobaczyć, że zamiast 30 ludzi i 30 koni pracuje w polu przy orce jeden traktor. Ludzie natomiast wykorzystują swój czas na roboty inwestycyjne, na prace przy hodowli i uprawie roślin szlachetnych. Kulacki strach przestał działać.

Najważniejszym jednak przełomem dla mojego ojca był awans społeczny trojga jego dzieci. Jaki kołacz w tym roku studia na Uniwersytecie Łódzkim. Brat zdobył kwalifikacje w zawodzie szewskim i awansował na księgowego w spółdzielni szwejskiej. Siostra skończyła liceum dla wychowawczyń przedzłotki i pracuje w przedszkolach łódzkich. W domu pozostała tylko jedna najmłodsza siostra, której ojciec również nie zamykał drogi na świat.

Nie broniliśmy żadnemu iść we świat, nie mogliśmy zabronić i tej ostatniej. Niech idzie gdzie chce i kiedy tylko chce. Ja sobie jeszcze poradzę... I leż się miłośni nowego w takiej

mowie ojca, a wygłasza ją, ilekroć zjawimy się w domu.

Ojciec nasz żył przecież marzeniem o takiej chwili, w której będzie mógł oprzeć ręce o plug na własnej ziemi. Gdy wreszcie dochrpał się tej ziemi, stał przed nowym marzeniem, żeby każdemu z dzieci zostawić chociaż po 3 morgi. A tu przed każdym z nas, zupełnie niezależnie od zabiegów ojca, otwarły się tak szerokie drogi awansu, że te trzy morgi, zapracowane dla każdego z nas przez ojca w ciągu 50 lat jego nadludzkich wysiłków i wyrzeczeń, stały się czymś bardzo znikomym. Ospaść, jaki nam przygotowali rodzice, nie była już dla nas przetrześnią. Coż to znaczy, kiedy ojciec mówi: „Ja sobie jeszcze poradzę?” (nawet gdyby najmłodsza siostra wyrzuciła z domu). A mówi wtedy zwykle ojciec o tym, że „ja moje dzieci tak nie wykształcę”. Rozumiem moje dzieci. Nie on wykształcił swoje dzieci, ale on wie, że na pozostawionej przez nas gospodarce, straż trzymać musi nadal, aby nie oberwały się warunki, dzięki którym w kraju poszłyby na nowe życie, na budowanie nowego życia.

Jak będzie mi ciężiej powiada ojciec — to oprę się o: spółdzielnię, bo pewnie już nastanie, a około ziemi trzeba chodzić, trzeba ją na pozio-mi dźwigać.

Wroga plotka, która dwukrotnie zachwiała zaufaniem ojca do władzy ludowej, nie ma dziś już tej siły, jaką miała kiedyś.

Moim największym pragnieniem jest, aby ojciec żył zdrowy jeszcze bardzo długo. Żeby na własne oczy mógł oglądać moją pracę, szczególnie dziecinnymi swoich wnuków i żeby rodzice mieli taką starość, jakiej nie pragneli nawet w najśmielszych swoich marzeniach. Możemy i mogli byśmy ją — my dzieci — zapewnić ojcu i matce — osobście. Ale chyba największym w ich życiu przeżyciem i najbardziej nagradzającym, będzie ich starość w spółdzielni produkcyjnej, wśród sąsiadów tuż, wokół żyjących na codzień ustawami socjalistycznego społeczeństwa.

Tadeusz Muras

Z prasy radzieckiej

Literatura wyrasta z życia

NIEDAWNO do redakcji poczyniły pisma radzieckiego „Literaturnaja Gazieta” wpłynął list jednego z czytelników, wyrażający nie-wątpliwie zainteresowania szerokiej radzieckiej rzeszy czytelniczej. List ten warto przytoczyć:

„Szanowni towarzysze! W naszej wsi Kripino (kolchoz imienia Kaganowicza) w okręgu moskiewskim rok temu otworzono księgarnię. Było to dla nas wielkie wydarzenie. Kolchoz-nicy bardzo chętnie kupują książki — i to nie tylko o problematyce gospo-darzej, ale również artystycznej. Ale kolchoźników interesują nie tylko książki, interesują ich też autorzy. Czytelnicy pytają mnie często, jak radzieccy pisarze rozpoczynali swoją działalność, jak układało się im życie”. Dalej autorka listu, kierowniczka biblioteki w kolchozie im. Kaganowicza, zwraca się do redakcji pisma z prośbą o podanie zyciorysów pię-dziesięciu najbardziej popularnych pi-sarzy radzieckich.

Z tekstu przytoczonego listu wy-lania się bardzo ważne zagadnienie: że czytelnicy pragną wiedzieć o bok dzieła artystycznego postaci autora; wartość książki naprowadza na pytania kim był czy jest autor, jakie miał życie — z jakich doświadczeń, z jakiej materii przeżył ukształ-towane zostało dzieło. Jest w takiej postawie, leży w charakterze takiego zainteresowania przeświadczenie, że wartościowe, ciekawe książki nie po-wstają „przy biurku”, lecz wyłaniają się z życia. Ten ścisły związek między literaturą a życiem staje się pewnikiem i miernikiem dojrzałości oraz wartości artystycznej książki. Nie ma dzieła poza życiem. Rozszerz-my to tezę: nie ma dzieła poza tere-nem, poza rozległym warsztatem do-świadczeń, jaki stanowi obryzm Związku Radzieckiego, zarówno w swoim centrum, jak i na pograniczach.

Stęgniemy do zyciorysów pisarzy radzieckich: większość biografii pot-wierdzi to tezę: Pisarze wyszli z „dołów”, z „głazów życia”, przynie-sli ze sobą własne doświadczenia i przeżycia, które „zarazem” były treścią życia ludu w rodzimym rejonie danego autora.

Teodor Gladkow przyszedł na świat w ubogiej chłopskiej rodzinie. Życie nadwołżańskich okręgów przedstawił w powieści — autobiografii p. t. „O-powieść o moim dzieciństwie” oraz w „Wolnicy”. Słynny Paweł Bazow, autorstwa uralskiego „folkloru” w „Szkatule z maluchami”, był synem górnik. Mikołaj Laszko trudnił się to-karką, przeszedł przez szkołę ru-chu rewolucyjnego, siedział wiele lat w więzieniach. Jakub Kolas, je-den z najznakomitszych poetów bia-łoruskich był nauczycielem. Wiesław-lod Wisniewski, autor dramatu „Nie-zapomniany rok 1919” brał czynny udział w rewolucji i wojnie domo-wej, obsługiwał kulomiot, był żołnie-rzem. Z szeregu Czerwonej Armii wyszli tacy pisarze, jak Furmanow i Tichonow, podobnie Ławreniow, Sur-kow, Fiediejew. Znakomity dziś poe-ta Siergiej Szepaczow był robotni-kiem w kopalni azbestu. Z ludu wy-szli Szolochow, Panfjerow, Pawlen-ko. Spośród robotników — metalow-ców wyszedł Włodzimierz Popow, który zdobył stopień inżyniera. Na-pisał powieść „Stal i szlach”. Autor „Ziemniaków”, Aleksander Wołoszyn, pracował jako rębacz w ko-palni węgla w Zagłębiu Kuźnieckim. Grossman był chemikiem w kopalni węgla w Zagłębiu Donieckim. Borys Polewoj, zanim napisał „Opowieść o prawdziwym człowieku”, zatrudniony był w charakterze technologa w jed-nej z fabryk włókienniczych. Wielka Wojna Ojczyźniana dała nową, za-stępę pisarzy, ludzi frontu, żołnierzy, którzy wnieśli do literatury własne przeżycia. Byli to: Wiktor Nekra-sow, Kazakiewicz, Werszyhora, Gon-czar i inni. Spora ilość piór rekrutu-je się z szeregu nauczycielstwa i dziennikarstwa: Siergiejew — Censki, Upił, Małyszko, Bubiennow, Pogodin, Panowa, Siedych, Wirta, Surow, Le-berechicki, Ilienkow.

Wszystkie te wypadki dowodzą ści-słego związku literatury z życiem mas. Ludzie stawali się pisarzami pod naporem przeżyć, z pragnienia przekazania, utraconia w kształcie artystycznym własnych i ludowych doświadczeń. Ta droga stawała się drogą dopływu do literatury nowych kadr, nowych sił. Nie należy jednak przypuszczać, że pojawienie się no-wych talentów odbyło się w jakiś magiczny sposób, za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, lub na skutek wiersza Majakowskiego „Rozkaz nr 2 do Armii Sztuk Pięknych”. Byna-jmniej. Tu nie wystarczą efektowne deklaracje. Trzeba zwrócić uwagę na to, że właśnie radziecka organizacja życia literackiego, radziecka sieć pism literackich i codziennych utrwalała nowym talentom liczne publikacje, stała się tym przewodem, którym „od dalu” do centrum napływały świeże talenty.

Pisałem już o tym w poprzedniej kronice, że w Związku Radzieckim zarzucono stare mieszczańskie kry-teria, według których życie literackie dzieli się na lepsze — stołeczne i „prowincyjne”. Stworzenie daleko-sięgnej sieci pism literackich, alma-nachów i wydawnictw, wzbudzenie zainteresowań literaturą w prasie co-dzienniej umożliwiło „wyłapanie” każdego talentu. Pisarz na odległych

krańcach Związku Radzieckiego znalazł dla siebie najszybsze możliwości startu.

Żeby się przekonać, że tak jest, wystarczy przejrzeć prasę radziecką. Informacje o pisarzach, rubryki no-wych książek, mówią nam o roz-ległości życia literackiego, które bi-jące obfitym źródłem w Moskwie, nie zamiera bynajmniej na dalekich po-graniczach. Podaje kilka wiadomości, ilustrujących ten problem, co prawda „na wrywkę”, ale jednak w sposób dostateczny.

W r. 1951 w Irkucku (Syberia) wydano 45 książek miejscowych au-torów o łącznym nakładzie miliona stu tysięcy egzemplarzy. W Kirensku na Lenę istnieje liczne stowarzysze-nie młodych pisarzy.

Syberia święciła niedawno trzy-dziesiątą rocznicę własnego pisma literac-kiego „Ogień Syberyjski”. Tutaj de-biutowali: Sejjulina, Karawajewa, Uł-kin, Ałymow, Markow, Fiedorow, Sie-dych, Wołoszyn... Almanach poświę-ca wiele uwagi problematyce Syberii i syberyjskiej pogranicza. Redakcja zapowiada na najbliższy okres druk powieści M. Aleksiejewa „Żołnierze” i następnej części „Ziemniaków”, Wotoszyna p. t. „Dalekie Góry”. M. Maksimow w powieści „Poszukiwa-cze szczęścia” przedstawia działalność amerykańskich imperialistów „we wschodniej Syberii w okresie przed-rewolucyjnym”. B. Kostiukowski opi-blikuje powieść o kolchozach w okrę-gu zabajkalskim p. t. „W górach Akuchik”. Nauczycielka z okręgu notosyburskiego N. Korniejewa ukła-dając pracę nauczycielską na tych te-renach w powieści o nieustannym jęszcze tytule.

Widzimy, jak z życia, z problematyki terenu wyrasta literatura, jak do-chodzi ona do głosu w oparciu o miejscową prasę literacką i lokalne wydawnictwa.

Specjalnie tematyce syberyjskiej poświęcona jest „Biblioteka pisarza syberyjskiego”, która wydała własnie powieść Wołoszyna oraz powieść K. Siedycha „Dauria”, a także wiersze Piotra Komarowa, powieść G. Kun-garowa „Dersu — Ursala”, G. Marko-wa „Strogowowie” (o początkach ka-pitalizmu na Syberii), A. Koptiejewej „Wielkie koczownictwo” i wiele in-nych. Równie bogate i ciekawe ży-cie literackie rozwija się na innych terenach. W górach Altajskich w mie-scie Barnaul powstał miejscowy „od-dział Związku Pisarzy”. Tu wydano powieść M. Pawłowa „Znojne lato”, P. Buturlakina „Ogień w stepach”, M. Judalewicza poemat o Polzunow-ie. W dalekim Władywostoku wy-chodzi almanach „Radzieckie nadmo-rze”. Tu wypowiadają się m. in. ro-botnicy — słocziowcy i partyzanci z lat 1918 — 1920 w cyklu „Tego nie podobna zapomnieć”. Zbiór opowia-dań marynarzy radzieckich p. t. „Pod obcym niebem” demaskuje imperiali-styczną Amerykę. Tenże problem po-dlejmują powieści G. Nikitina „Dale-ki rejs” i A. Starostina „Pod wiatrą dolara”. Miejscowe wydawnictwo li-terackie wydaje książki pisarzy, mie-szkających we Władywostoku. O ży-ciu marynarzy radzieckich na Pacy-fiku napisali powieści Zajcew i Skul-ski p. t. „W dalekim porcie”.

W okręgu amurskim, w mieście Blagowieszczeńsk wychodzi almanach literacki „Nad Amurem”, powstają powieści, drukują się książki. W Ta-szkencie ukazują się w języku ro-syjskim miesięcznik p. t. „Gwiazda wschodu”. W okręgu usuryjskim roz-wija działalność związek pisarzy, po-siadający własne wydawnictwo. Tu wydano ciekawą książkę L. Szana p. t. „Pochód przez pustynię Gobi”. Na Krymie istnieje specjalny almanach p. t. „Krym”, publikujący literaturę do-tyczącą budowniczych kanału krym-skiego. Wychodzą książki m. in. E. Popowkina „Budowniczy”, D. Cho-lendra „Gospodarze morza”. Rów-nież własny organ literacki posiada teren Donu. Kachówka doczekała się także własnego almanachu.

Wszystkie te przykłady świadczą o tym, że „terenowa” problematyka do-pływa do centrum literatury radziec-kiej poprzez miejscowe życie literac-kie, poprzez wydobycie i ukształtowa-nie w formie artystycznej miejsc-o-wych obserwacji, spraw i trosk. Sze-roka sieć wydawnictw, prasy literac-kiej gazet i korespondentów ułatwia narodziny nowego talentu.

Wnioski nasuwające się polskiemu czytelnikowi są jasne: jedynie silne „uterenowienie” centralnych pism li-terackich, objęcie zainteresowaniem całego obszaru Polski pozwoli wy-kręcić nowe siły, ułatwi dopływ świe-żych talentów. Nie sądzę, aby sprzy-jała temu jednorodna centralizacja życia kulturalnego i artystycznego — li-terackiego w Warszawie. Uściółka do Stolicy talentów, ogolanie „pro-winwincji” z piór literackich wytwarza sytuację, w której nowe talenty na prowincji nie znajdują dla siebie punktu zaczepienia: nie ma do kogo, ani do czego się zwrócić.

Grzegorz Timofiejew

Gazetka gminna

Odkryte sztuczki

Wrócił nasz Wincenty z dwutygodniowego kursu. Na kurs go poproszono, bo się wyróżnił w akcji skupu. Znaczący jakby, starymś się uczy? Kurs się tyczył spółdzielczości zbytu i zaopatrzenia. Wincenty będzie przewodniczącym naszego komitetu sklepowego. Filii jeszcze nie ma, ale budynki odpowiedni już mamy i podanie złożyliśmy.

Zebrała się gromada, aby posłuchać Wincentego.

— Jakby to Wam powiedzieć. Społeczną przeszedłem szkołę. Na ten przykład weźmy sklep, co go jeszcze nie mamy, ale będzie. Puszczmy go w ruch i jaki widziecie ruch?

— No, ruch towarów — ktoś zaryzykował.

— Ruch towarów, ma się wiedzieć, ale także samo, ruch ludzi. Tego mnie nauczyła szkoła społeczna. Zacznie się ruszać sklepowy, porządną dawniej człowiek, ale zaczyna się też ruszać wszyscy. A pytam was, czy jednakowo?

— A ino...

— O i w tym rzecz, kto będzie ruszał sklepowy? Większość, powiecie, biedota. Ale trzeba dobrze ruszać i jeszcze lepiej miarkować, aby kto że a szczeranie nie ruszał. Czyli szkoła społeczna. Weźmy na ten przykład powiat. Ho, ho, co czego z takiej wysokości nie zobaczysz? Za głowę się brałem. Bo to ze wszystkich województw przysły przykłady do naszego województwa, stąd zaś do powiatu, a na dokładkę powiat miał swoje.

Sklep społeczny to wielka szkoła dla gromady, ale też wielka okazja do szkodnictwa i demoralizacji. Wróg klasowy z tej strony podchodzi. Ja wam tu je przykłady... abyśmy się w korcu maku nie zgubili, kiedy otworzymy nową filię.

Pożyczka z was konia albo wóz, albo rower od sąsiada? Niejeden. Ale,

jak pożyczka sklepowy, to co z tego wyjść może?

— Grzeczność za grzeczność... — Otóż to! Musimy wybić z głowy i sklepowemu i temu, kto pożyczka — że nie odwzajemnia się grzecznością towarami naszego sklepu.

A teraz na ten przykład banki na naftę. Chłopi przynoszą i wstawiają do sklepu, niechta czekają. Pilny sklepowy ponalewa, kiedy nafta przyjdzie i potem co?

— A to sztuczka! Jeden otrzyma 10 litrów, drugi 2 i nikt nie wie, kto ile!

— Otóż to, kto tu ma szansę poruszać sklepowym? Bogacze, kumotry, krewni.

A to jak wam się podoba. Sklepowy sprzedaje wódkę i pozwala ją pić na miejscu, co z tego może wynikać?

— ...Awantura.

— Oto idzie, pijani cen nie dopatrzą, płacą ile się od nich żąda. Jak tego spróbujecie sklepowy, to potem idzie do biedniaka i namawia go, aby lupnął wieprza. Przyda mu się mięso na zagrychę, niby tak po przyjacielsku pod wódkę dla pijących.

— No, no, no...

— Lemiesz w pewnej spółdzielni sprzedawano i obrocze. Ma się rozumieć w pierwszym rzędzie matorolnym i co powiecie? Lista była dobrana. Brał taki obrocze i za umówiony meterek żyta oddawał bogaczowi z drugiej listy. Tak to funkcjonował sklepowy.

A był też taki sklepowy, co swoje go syna i córkę ubierał w niedzielę w nowe ubranie ze sklepu. W poniedziałek wracały te ubrania na hak do sprzedawcy.

— Odkryj nam Wincenty wszystkie takie sztuczki, to my już będziemy wiedzieli, jak pilnować naszego dobra w sklepie i jak gadać z tymi, co przeciw nam.

Alojzy Pośpiech

Chłopi nad Bałtykiem

Kiedy mówimy „nad Bałtykiem”, myślimy o portach, marynarzach, o rybakach, o wakacjach nad morzem. Pomyślimy choć raz również o chłopach. Warci tego. Wracamy z pomorskiego województwa i spod Gdańska pod wrażeniem chłopskiego patriotyzmu. Najlepiej powiedzą o tym przykłady. W powiecie Chojnicach, prawnie chłop z PGR-em ó... „jeczmiem browarny. Poszli na szeroką kontraktację, ale od dwóch lat zbiory nie udają się. Odkąd mianowicie zareklamowała im Samopomoc „duński jeczmiem”. Nawet na ziemiach — jak powiadają — na samym obroniku, w dobrej ziemi, przy soli potasowej i starannie uprawie, ba, nawet po saletraku rozsiłanym przy trzcinie piorku — w skórę każdy bierze przy zbiorach. Dość tego — detydują chłopci — może ten jeczmiem dobry jest w Danii, ale nie u nas, w pomorskim klimacie. Ponieśliśmy straty i poniosło je państwo. Tak dalej być nie może!

A znówu w Gdańskim rzecz idzie o nawozy. Nie żeby ich było brak, ale PZGS się w teren niewłaściwie. Chło-

pi proszą o nawozy fosforowe, PZGS pcha superfosfat. Spór nabral już cech dyskusji nieomalże naukowej. Po stronie chłopów stoi nie tylko praktyka, ale i wiedza. Nie wierzyć? To posłuchajcie, co mówią.

Po pierwsze, praktyka wykazała, że superfosfat nie przysięga, ba, naszym terenie żadnej korzyści. Najmiejst stosowanie superfosfatu, względnie tomasyny daje świetne rezultaty. A PZGS prowadzi uporczywie politykę akurat odwrotną, zasypuje nas superfosfatem.

Po drugie Jak wiadomo, sól potasowa i nawozy azotowe (superfosfat) sprzyjają rozwojowi słomy w roślinie. Na rozwój ziarna wpływają natomiast nawozy fosforowe.

Z tego wynika, że PZGS w Gdańsku życzli sobie, aby rolnicy w gm. Swibno produkowali samą słomę bez ziarna, bo taki tylko dać może wynik stosowanie nawozów według recepty PZGS-u w Gdańsku. A my chcemy podnosić produkcję zbóż, chcemy dawać coraz więcej krajowi ziarna. I wiemy jak je powiększyć.

Edward Bobrowski

Miód i gazeta

Chcę Wam napisać po trochu o miodzie i o gazecie. A to z tego powodu, że wśród chłopów mały jest procent pszczelarzy, ale czytelników gazet miliony.

Wiele kiedy mnia pszczelarzowi wydawali się przykry wypadek to — zapewnił was — że jako czytelnikowi gazet — jeszcze gorszy.

A było to tak. Wąte do GS-u, aby mi sprzedano cukier za sprzedany przeze mnie miód na punkcie skupu Centrali Ogrodniczej w Siemiatyczach.

Ala kierownik GS-u zaniósł mi i powiada — Jesteś miód zakontraktowany był w naszej spółdzielni, otrzymaliśmy pan cukier u nas, a skotrymalby pan cukier u nas, a skotrymalby pan zakontraktował w Centrali Ogrodniczej, niteh pan tam jedzie po cukier.

Wtedy ja mu pod nos 117 nr „Rolnika Polskiego”, gdzie podano rozporządzenie rządu, że mając zaświadczenie sprzedaży miodu pszczelarz ma prawo otrzymać cukier (1 kg c. za 1 kg m.) w najbliższej mu spółdzielni gminnej.

Pan kierownik, jak się okazało, dopiero teraz czytał to rozporządzenie po raz pierwszy. Ale mimo to nie zmienił. — Nie jesteście przygotowani...

Udałem się do Gminnej Rady. Przewodniczący, prawdziwy gospodarz terenu — lap za słuchawkę i dzwoni do Wydziału Rolnego w PRN w Bielsku Podlaskim. A z Bielska mu odpowiada, że tam oni o takim rozporządzeniu nie jeszcze nie wiedzą.

Wiedział jak to niby, my chłopci czytamy gazety a panowie w GS-ach, u PRN-ach nie? Myślę, że czas już, aby na wyższych szczeblach wiedza no tyle chociaż, co wie dziś chłop na wsi.

Włodzimierz Karewicz

„Grymasna”

„Zdawalam do Liceum Handlowego. Nie przyjęli mnie jednak, bo ojciec mój jest bezpartyjny i bogaty a przecież ma tylko 4,8 ha” (woj. łódzkie).

Koleżanki doradzały Liceum Pedagogiczne, matka popchnęła ją do Liceum Handlowego. Tu nie została przyjęta (po egzaminie), ułokowała się ostatecznie w Technicum Przemysłu Drzewnego. Upięknego pierwszego półroczu, dziewczyna znów kapryś. Dobra to szkoła dla chłopów, ale nie dla dziewcząt. Takie jej zdanie. Chce zmienić szkołę ale na jaką — sama dobrze nie wie. Oto klimat listu tej córki młodego średniaka. Zły klimat. Wszystko ją nieci, a do niczego nie ma pasji i zamiłowania. Do organizacji młodzieżowej nie należała, żyje atmosferą domu. Wola matki, gdyby się spełniła, zdążyłaby z niej ciężar odpowiedzialności. Jej los zostałby przesądzony autorytatywnie. A że stało się inaczej, dziewczyna jak cierni wybudowała ze wspomnień ów egzamin do

Liceum Handlowego. Rozumiemy — że wszystkich liceów to jedno wskazane przez matkę, zapewnił mogło święty spokój takiemu ciętaku.

Natomiast czego innego nie można zrozumieć. Skoro dziewczyna jest w liceum i może nawet przenieść się do innego, zatem w większej perspektywie nie ma tu zawiedzenia, nowy ustrój sprzyja jej. Dlaczego więc egzamin do Liceum Handlowego opisuje w ten sposób: „nie przyjęli mnie jednak, bo ojciec mój jest bezpartyjny i bogaty a przecież ma tylko 4,8 ha”.

Maria Kulina

Zawiadamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od 13-cia stycznia br. urzędy pocztowe, oraz listonosze wiejski i miejski przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Nie nuda się?

Trafili w moje ręce dwa listy młodych nauczycieli. Z Rzeszowskiego — nauczyciela, z Warszawskiego — nauczycielki. Tematem w obu listach: sprawa miłości i małżeństwa. Ujęcie również podobne. To ujęcie zatrzymało moją uwagę. Jakże to było w latach przedwojennych i jeszcze wcześniej? Nauczyciel na wsi, samotny, inteligent, „pan” w ocenie gromady. Z kim się miał żenić? Z nauczycielką, z miastową, najradziej z dziewczyną wiejską. Jemu się nasza nie nuda” mówiono. On również pilnował „autorytetu”. Wdzięczy to był dla romanso-pisarza temat, nie tracił też na uroku dzisiaj. Tragizm bowiem dawniej wątek dzisiaj znajduje pomyślnie, optymistyczne rozwiązanie.

Ginie izolacja społeczna i obyczajowa między nauczycielstwem.

Jeź to rodzin, we wsi odwiedza młodzież kształcąca się w szkołach średnich i na wyższych uczelniach. Jak szeroki wyrastał wtedy z miejscowych chłopów i chłopek.

A jednak? A jednak zdarzają się jeszcze tacy nauczyciele i takie nauczycielki, — jak autorzy listów, o których wspominałem.

On, młody chłopak, zapracowany w szkole, pyta: gdzie znaleźć żonę? „Trzeba chyba szukać w dalekim Rzeszowie, albo w innym mieście, bo choć nie gardzę dziewczyną wiejską, żadna mi się jednak nie nuda, gdyż pragnę takiej, która mogłaby w każdej chwili stanąć do pracy, jak moja, lub podobnej, a gdzie ja taką znajdę?”

Nauczycielka z województwa warszawskiego sama jest chłopką z pochodzenia. Jeszcze w liceum przyjaźniła się z synem sąsiada. Teraz on się oświadczył i... otrzymał kosza. „Nie mogę się na to zgodzić — pisze nasza uczona — ponieważ na pracuję na roli a ja jestem nauczycielką. Choć poznałabym się dobrze i nasze charaktery są podobne, on jednak nie ma żadnego zawodu wyuczonego. Nie mógł się uczyć dalej, bo nie ma ojca i musiał prowadzić gospodarstwo. Nie byłabym szczęśliwa w małżeństwie, bo czyż można pogodzić ze sobą tak różne przygotowania do życia?”

No i co? Wyjdzie za niego? Czytelniczko? Biercie za pióro i piszcie, jak to tam u was... w okolicy. Pokażcie nowych nauczycieli i nie żałujcie kpinek tym, którym jeszcze się wydaje, że „schodzą w lud”.

Cytowane listy domagają się dyskusji.

Jan Kurzołka

IRENA MAZURKIEWICZ

Kontraktacja

Przyjechał do Niezłuch Duży Referent od kontraktacji. Narobił szumu, hałasu. Popił z tym, z tamtym i — z nagią. Spuścił, że nie ma już czasu: Muszę natychmiast do Cielisk! Rzecz taaa... wiecie ten tego... Wytrzasnął kupę papierów: „Zróbcie to za mnie, kolego!”

Przedownik grupy hodowców, Walenty Trzon, aktywista. Zatrzasnął listy w szufladzie: „Zrobi się — rzecz oczywista”

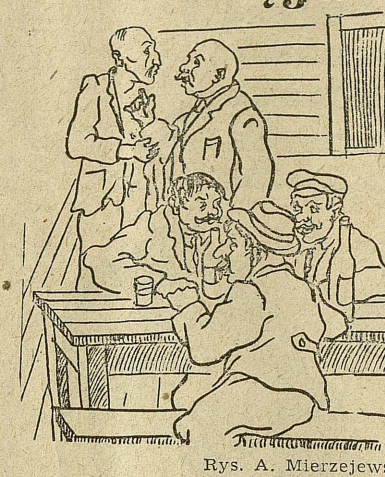
Przyszyli emleci. Włgo — huk roboty. Wykopki i siewy, orki zimowe. Miesiąc. Drugiego zeszło polewo. A listy? Ciągłe u aktywisty. Stangli wszyscy. Do akcji skupu. Trzon, oczywiście. Ze swoją grupą. Poszła robotka. Składnie w gromadzie. Leż listy? — Na dół leżał w szufladzie.

A ewaniak i kombinator W Dużych Niezłuchach wia, hulaj. Rad śmiać się kulać, że mięso. W worach wywozi spekulant. Czy winien jest aktywista? Obydwa! — Chociaż z powodów Różnych, rzecz oczywista. Referent Kluska, popiłat, Żarłok, a kanciarz, jak rzadko! Ze swych się obawiać. Wymagał chryzry i gładko:

Fakt zaniedbania — przez kwartał. Dł to konkretnie w wyniku: Ze dwieście poszło tuczników. Peł nóż pokątnych rzeźników.

PIOTR PIGWA

W kręgu terenowych korespondencji



Rys. A. Mierzejewski

OTRZYMALISMY właśnie garść korespondencji z różnych gromad, dotyczących pracy „złych” soltysów. Przy czytaniu uderza z miejsca fakt, że nast korespondenci charakteryzują „urzędowanie” soltysów nie zawsze w ścisłej zależności od ich klasowego stanowiska, nie zawsze umieją odkryć i zdemaskować te sily społeczne, którym właśnie zależy na podtrzymaniu w gromadzie „złego” soltysa. Obraz poszczególnych „małych premierów” nie jest zawsze pełny. A to znaczy, że praca korespondentów została w części zmarnowana.

Oto Kazimierz Czajkowski z gromady Zagorany, gm. Zaborów, powiatu kaliskiego (poznaniński). Dowiadujemy się z korespondencji, że na przestrzeni swego podjęzanie długiego „urzędowania” (od roku 1945) dokonał następujących czynów: nakazał gromadzie rozebrać potnie mieckie bunkry, z cegły miasto zbudować most. Tymczasem „postawił sobie stodołę a mostu jak nie było, ta nie ma, który jest konieczny potrzebny”. Następnie odebrał milicji nie potnie mieckie maszyny, obiecał przekazać je osłódkowi maszynowemu, ale jak dotąd sam ich używa. Wodopój, ocieniony drzewami, uznany został za własność gromadzką, „a soltys ścina sobie drzewo i kwitła”. A dalej? „Soltys chodził z komisią porządkową i kto miał lichy komin nakazał naprawić, a jak nie to rozwalę, a gdy przyszła cegła na te kominy, to ja soltys zabrał dla siebie”.

Aż dziw człowieka bierze że taki wódz gromadzki może się do tej pory na stanowisku utrzymać. Jeżeli tak jest istotnie — to nasz korespondent nie potrafił ujawnić przyczyn, które powodują długotrwałe „urzędowanie” Czajkowskiego. Pisze: „Nie chcemy zdradzić tego egoisty, to poradziliśmy gromadzie, by w GRN nie zataczała”. Tu właśnie leży pies pogrzebany! Czajkowski ma popleceników i bez ich zdemaskowania i usunięcia można tylko tyle osiągnąć,

WŁADYSŁAW MACHEJEK

Spółdzielnia w Waganowicach

MÓWIŁA prosto, nieuczenie, bez gestów i ornamentów, a jakby śpiewała na cześć piękności nowego życia. Niepojętym pięknem jest dobrobyt dla człowieka, który z nędzą był przez całe dotychczasowe życie za pan brat, życie w zmrużeniu oczu. Zebalini można czytać zdziwienie — że słońce, które wstawało i wznosiło się, daje wreszcie ciepło ludziom pracy na wsi.

Zwrócona twarzą do zebranych — przesuwała dłoń po czarnych, gładko uczesanych włosach. Stała w jasnym, niedawno kupionym płaszczu. Utknęła i jakby szukała odpowiedniego określenia dla czasu, który bezpowrotnie minął. — Ledwośmy wyrosli w skórę i kości. Zylismy w ciągłej poniewierze. Dopiero teraz, w spółdzielni produkcyjnej, gdyśmy z mężem zarobili prawie czterysta dniówek — możemy żyć.

Zebalina patrzy uciesznie, jasno w oczy kobietom jeszcze niezrzeszonym, które gromadnie przyszyły na zebranie spółdzielcze, by dowiedzieć się prawdy o nowym życiu, które jest przede wszystkim nowe dla kobiet.

— Mało — mówi — przez pół miny pracowałam, jak dawniej, a więcej zarobiłam. Nie wiem, jaki wróg chciałby nam to odebrać, ale żadnemu już się nie damy.

Właściwie wystarczyłoby słowo po słowie zanalizować tylko ten głos w dyskusji na zebraniu sprawozdawczym Rolniczego Zespołu Spółdzielczego (tzn. spółdzielni produkcyjnej) III typu w Waganowicach w dniu 20 stycznia, aby otrzymać obraz przemian na współdzielczonoj wsi i na jego tle zobaczyć rewolucję w życiu jednostki. Przemiany służą człowiekowi, dobrobyt w wymiarze rodziny daje świadectwo potrzebie tych przemian i argumentuje za ich pogłębianiem i rozszerzeniem na całe pracujące chłopstwo.

Stanisława Zebalina wyrobiła wspólne z mężem 334 pracodniówki. Cy-

że miejsce pierwszego zajmie drugi soltys „egoista”.

W pracy korespondenta ważne jest oczywiście zgromadzenie faktów nadających popelnianych przez soltysa. Ważne, lecz niewystarczające. Przy pomocy faktów, jak po nitce do kłębka, trzeba dojść do odkrycia całego układu klasowego, odpowiedzieć na pytanie — a kto popiera Czajkowskiego?

Donosi nam korespondent z Zelechowa (pow. Garwolin), że największym nieszczęściem gromady Władysławów jest soltys, Miszkurka Władysław i jego klika wyżywiająca i okradająca chłopów. To już znacznie lepiej i więcej niż w wypadku korespondencji z Zagorany. Czytamy, że sprytny Miszkurka postawił pieczęć urzędową na fikcyjnym podziale ziemi, wskutek czego Stanisław Wilek, bogacz na 30 ha płaci podatek jedynie z 5-ciu ha. A jest takich opieczetowanych przez soltysa „przeszło więcej” w gromadzie — stwierdza korespondent — Gomół, Miszkurka, Pyra, dwój Kolodziejczyk, Burkowska, Kolata, Kujda, Kosyra, Jaworska — na wolowej skórze byś nie spał. Odsłania się więc cały zespół, zgrana kompania kulacka, zainteresowana oczywiście w utrzymaniu Miszkurki przy władzy soltysa. Kompania szuka i znajduje pozornie legalne środki udzielania mu poparcia. Organizuje mianowicie „grupe transportową” przewożącą z „dobra woli” towary z powiatowej składnicy PZGS do miejscowego sklepu GS. A tam wodzi rej ob. soltys. Miszkurka może liczyć na kilkadziesiąt kresek przy wyborach, a wyborcy na „cichy” przydział, co lepszych towarów.

Z korespondencji widać wyraźnie i prawidłowo, że szkodnik społeczny, wróg — nie może działać samotnie, lecz opiera się na kumotach — kulakach. Ich to właśnie odkrył nasz korespondent. Ale od podstawowego błędni nie zdołał się ustrzec. Pisz do redakcji: „proszę się zająć tymi „wyrzutkami” społeczeństwa, domagać się dla nich dyscyplinarnego ukarania za ich przestępstwa wobec Polski Ludowej, proszę o wypisanie kulaków w gazecie, bo innego lekarstwa na nich nie widzę”.

Tymczasem takie lekarstwo jest i to na miejscu. Korespondent zadał sobie niewątpliwie dużo zeszłego trudu, aby pokazać cały zamaskowany aparat oszustw kulackich, ale napisał o nich niejako prywatnie, osobie, jakby to tylko jego te kulackie machinacje dotyczyły. Sprawa zupełnie niebagatelna! Iluż to korespondentem brakuje po prostu odwagi, aby „napisać” korespondencję przedyskutowaną publicznie na zebraniu gromadzkim, powołał do życia chłopską opinię społeczną — biedoty i matorolnych, w oparciu o nich i w ich imieniu następnie skierować

sprawę do GRN, a jak zajdzie potrzeba to i do powiatu. Takie właśnie „odnalezienie” sojuszników na miejscu, czyni korespondenta prawdziwym reprezentantem pracującego chłopstwa. Ale użyjmy przykładu.

Pisz do nas z gromady Świerk, gm. Wiązowa, pow. Otwock — kobieta korespondent. W jakim celu? „Aby podnieść zaojane życie w naszej wiosce, z czego się cieszą kumotry sanacyjne, którzy wdierają się na stanowiska soltysa, prezesa ZSCH gromadzkiego, ażeby gnębić matorolnych chłopów”. Wyróżnia się pod tym względem soltys ob. Edward Lech. Ten nie tylko kradnie cegły i cement, ale przede wszystkim krzywdzi biedotę przy takich okazjach jak klasyfikacja gruntów, wskutek czego w planowym skupie zboża normy dla bogaczy zostały zniesione, wygórowane natomiast w stosunku do matorolnych.

Jak postępuje korespondent — Stanisława Szeplik? Gromadzi starannie fakty nadające, ilumacy ich klasowy sens, a na dowód prawdziwości twierdzenia swój list do redakcji trzema podpisami. Ale nie w tym rzecz. Matorolna chłopka nie chce przedstawić redakcji prośby o ujęcie się za pokrzywdzonymi, lecz pragnie opisać w jaki sposób rozstrzygnięto sprawę w oparciu o miejscowy aparat władzy terenowej i czynniki polityczne. Jej list ma zatem wagę pouczającego przykładu.

Energiczny korespondent w spółnicy natychmiast postawił na nogi opinię pokrzywdzonych chłopów. I oto możemy czytać odpis załączonego do listu pisma zbiorowego chłopów z gromady Świerk do GRN. Kilku dziesięciu mało i średniorolnych stwierdza, że soltys wraz z kompanią, występującą pod nazwą komisji klasyfikacyjnej, skłasyfikował ziemię biedoty w 3 i 4-ej klasie, tymczasem lepsze ziemie posiadają prawie wyłącznie bogacze. „Kategorycznie twierdzimy — piszą chłopci — że poltamy w szachownicy i nie może być tak, że przez małą brudną ziemią staje się od razu u nas lepsza a u bogatych gorsza”. Czytamy, że soltys przerzuca ciężar świadczeń na biedotę, a najbliższych kumotów w ogóle od obowiązku sprzedaży zboża uwolnił.

Moralna jedność pracującej części gromady, zbiorowy protest zorganizowany przez korespondenta okazał się dość silny, aby złamać potęgę klki soltysa Lecha. A to znaczy, że te społeczno — moralną jedność, te silne polityczne rosnące w gromadach naley wyzyskać, zorganizować. Nie ma chyba większego uznania dla pracy korespondenta terenowego nad poparciem go przez pracujące chłopstwo. Co więcej — poparcie to gwarantuje skuteczność jego pracy.

Piotr Pigwa

fre te, jak wiadomo, mnoży się przez wartość jednej dniówki i otrzymuje się caloroczny dochód. Ze sprawozdania przewodniczącego spółdzielni w Waganowicach, tow Sadowskiego, dowiedzieli się chłopci, że wartość dniówki obrachunkowej wyniosła 30.31 zł.

Teraz słyszy się po wsiach gadanie wroga, że „państwo zabierze wszystko zboże, wszystko mięso ze spółdzielni, a ty będziesz kupował chleb w sklepie, albo będziesz chodził z garnuszkiem do wspólnego kotła”. Praktyka zdążyła już jednak zaprzeczyć tym bredniom. Indywidualnie dotąd gospodarujący Waganowiczanie usłyszeli, że tak jak w kolchozach radzieckich — spółdzielnia produkcyjna, zebrawszy plony, reguluje tylko wobec państwa zobowiązania w naturze — w ustalonej przez władze wysokości z hektara, zupełnie tak samo, jak indywidualni chłopci — i po tych samych handlowych cenach — a ołbrzymia reszta zostaje do podziału między członków i na zasiew.

Dlatego spółdzielnia waganowicka w ramach jednej dniówki obrachunkowej otrzymuje:

pszenicy — 8,22 kg,
żyta — 3,5 kg,
ziemniaków — 6,2 kg.

Ponadto jeczmiem, cukier i inne produkty żywnościowe oraz dla potrzeb gospodarstwa przyzgodowego — słomę i siano w określonej ilości, poza tym w pleniadkach — 4,20 zł. To razem czyni — przebiegające produkty na ceny oficjalne — zł. 30.31 za dniówkę.

Dlatego rodzina Zebalów otrzymała za 334 dniówki: ponad trzydzieści kwintali pszenicy, trzynaście kwintali żyta, itd., wreszcie 1612 złotych 82 grosze w gotówce.

Za nimi zaraz idą — Stanisław Sadowski z 351 dniówkami, Calkowie z 268 dniówkami, Bucy z 262 dniówkami, Skrzydlewscy, Jelenie, Dukato- wie... itd.

Co decyduje o dobrobycie? — Praca i jej owoce — produkcja. Akurat w III typie, jaki obrały Waganowice dla swego spółdzielczego gospodarowania, jedynym miernikiem dochodu każdego członka jest tylko praca. Miernikiem i prawem do dobrobytu. Jak wiadomo — w III typie nie istnieje już żadna renta gruntowa. Praca owoceje pracodniówkami. Tow. poseł Taborowicz, wiceprzewodniczący Woj. Rady Narodowej, zapytał w swym przemówieniu:

— Czy jest możliwe, by nie tylko dziesięciu członków spółdzielni wyrobiło od 200 do 384 dniówek, ale aby wszyscy (a w spółdzielni jest ok. 20

członków) szczylicili się takimi osiągnięciami?

Przedtem już padły dwa znamienne zdania, przeżyte, przemysłane. Władysława Piotrowska powiedziała tonem, jakby i siebie ganiła. — Dlaczegośmy się długo błąkali? — Bo byliśmy nieuświadomieni...

Uświadomiła ich wspólna praca. Do wspólnego warsztatu dopływały coraz więcej rąk. Ze sprawozdania przewodniczącego wynikało, że jesienią 1950 r. po zaoraniu miedzi, przy siewach wzięło udział tylko pięciu członków. Wróg szeptał: no, zasiać, to oni zasiają, ale przy żniwach sobie nie poradzą... A tymczasem upór pierwszego szeregu bojowników idei spółdzielczej pociągnął następne. Przy żniwach spółdzielcza rodzina już rozporządzała czterdziestoma rękami. Jeszcze lepiej charakteryzuje rozwój spółdzielni — fakt przystąpienia do niej 3 nowych członków. A że się sami „starzy” członkowie przez pewien czas „błąkali”, używając stylu Piotrowskiego, dlatego wyniki gospodarki nie są jeszcze takie, jakie być mogły. Towarzyszy Sadowski powiedział z uzasadnionym optymizmem: — produkcja w spółdzielni nie ma granic. — Zaczęły o wydajność z hektara i porównywały ją do niższej z 3 — 5 q wydajności na zagonach indywidualnych. Prawda jest, że ziemia, zasłana sposobami znanymi arolotechnice, potrzebuje powolnego dojrzewania, by rodzić z roku na rok więcej... Ale gdyby nie było marnotrawstwa — o czym ogólnie wspominało sprawozdanie — już dziś dniówka wypadłaby wyższa i więcej byłoby tych dniówek. Praca czekała na ręce, a rąk brakowało. Czy wszyscy więc członkowie mogli zarobić po 200, 300 i więcej dniówek? — Mogli.

— Przyjeżdżałem tu — mówił tow. Taborowicz — jesienią — serce się ścisnęło... jabłka na drzewach niszczaly. Pytam: dlaczego ich nie zbieracie? Pilniejszy chleb — odpowiadano. — Siewy, zbiory ziemniaków... Słusznie. Ale, gdyby jeszcze przybyło kilka par rąk, które się za długo wahały, to spółdzielnia uzyskałaby za owoce nie 20.000 zł, ale 70.000 zł.

Na sali pochyliły się głowy. Och, boli chłopca marnotrawstwo. Zgają w serce słowa krytyki Piotrowskiej: „Byliśmy nieuświadomieni”. Ale z tego też wychodzi, że spółdzielnia jest naszą matką, która nikogo nie skrzywdzi. Co zarobisz — twoje.

Podobały mi się te akcenty samokrytyczne, chociaż 30 złotych dniówka mówi przecież o olbrzymim wysiłku spółdzielni i jej osiągnięciach. Władysław Machiejek

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Redaguje Komitet

Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12 tel. 752-30 Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7

Prenumerata i kółportaz: P. P. K. „Ruch”, Oddział w Warszawie, ulica Sierbna 12, tel. 201-20 do 25

Tel. Red. Nacz. 727-85 Tel. Redakcji 751-80 do wewn. 91, 93

REDAKCJA NIE ZAMOWIANYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA

Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.

Warunki prenumeraty:

mięsiecznie 3 — zł, kwartalnie 9 — zł, półrocznie 16 — zł, rocznie 36 — zł

Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa 1-6342, 110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wies”.